



ZESZYT DRUGI.

ROZNIK SZÓSTY.

## SZCZĘŚCIE KOBIECE

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

### ROZDZIAŁ II.

Cały ranek poświęcił nowy dziedzic obejrzeniu majątku, jakim raczyła go udarować św. p. hrabina, krewna jego.

Był to mały folwark, niewielkiej wartości. Pola ornego było zaledwie kilkadziesiąt morgów, resztę zajmował las iglasty. Ponieważ wogóle była okolica lesista, a prócz tego żadnych dróg do sprowadzania drzewa dotąd nie porobiono, nie mogły lasy najmniejszych przynosić korzyści. Zabudowania gospodarskie były nader skromne, a przez czas znacznie uszkodzone. Słowem, folwark ten mógł zaledwie stanowić majątek jakiego kolonisty, któryby sam w ziemi pracował, dla potomka zaś dawnych dygnitarzy Rzeczypospolitej był raczej gorzką ironią niżeli właściwym mieniem.

Mimo to pan Edmund, którego arendarz z białej karczmy grafem nazwał, obejrzał całe obejście swoje z takim zajęciem, jakby rzeczywiście wierzył, że posiada majątek.

Zagadkowy towarzysz jego, solennie jako ekonom i leśniczy przed całą służbą zainstalowany, rozmawiał z nim czas niejaki o spożytkowaniu starych sosen i uprawie łubinu, poczem w przytomności inwentarskiego karbowego otrzymał rozkaz, aby dla wyszukania kupców na drzewo, jako też dla zakupna potrzebnego inwentarza po okolicy się obejrzał.

Uporawszy się z tem wszystkiem, postanowił pan Edmund udać się z wizytą do najbliższego swego sąsiada i krewnego.

Zatrudnienia gospodarskie rozwiały jego poranne wzruszenia, jakich doznał na widok starych, poszarpanych murów pałacu i na wspomnienie malowanego diabła, o którym poczytli mu mówił, i który we śnie wyprawiał mu takie psoty.

W dobrym humorze, pogwizdując sobie melodye z jakiejś opery najnowszej, siadł na wózek, który gdzieś w szopie się znalazł. Na koźle siadł sam karbowy z tej prostej przyczyny, że innego woźnicy na całym folwarku nie było.

Jakkolwiek mury pałacu, do którego teraz dążył, wyraźnie z okien folwarku widać było, potrzeba jednak było kilka jarów przebyć i sporą godzinę jechać, nim otworzyła się droga, prowadząca wprost do pałacu.

Edmund widział teraz cały pałac przed sobą.

Był to budynek stary, dźwigający na sobie kilka wieków. Z każdej rozpadliny muru, z każdego przez czas wybitego wylomu widać było herby wieków. Nie była to ładna, wycacana klejonka dzisiejszych dworców kolei żelaznych, które od dawnych zamków i pałaców zapożyczają kształtów i ornamentów, a w których niemało namacać można wczorajszego dorobkiewicza lub na gieldzie z bogatego kupca.

Inaczej przedstawiało się rodowe gniazdo dawnych



dygnitarzy Rzeczypospolitej. Pleśń wieków uderzała dziwną wonią i budziła w duszy dawne wiekowe obrazy. Widziałeś tu starca z obliczem pooranem, z szatą wypłowiałą i nadartą, widziałeś członki jego połamane i pogięte, ale wejrzenie jego uroczyste nakazywało uszanowanie i zmuszało mimowolnie do pozdrowienia.

Takie wrażenie sprawiały te stare mury. Zdaje się, że kilka pokoleń pracowało nad nimi. Najprzód postawiono duży czworoboczny budynek i otoczono go wałem i wodą. Dzisiaj jeszcze są tego ślady. Poźniejszy mieszkaniec przybudował kaplicę z małą wieżyczką, do której potem więcej dla ozdoby niż dla rzeczywistej obrony przyparto ośmioboczną basztę ze strzelnicami na górze. Od baszty rozpoczynał się długi mur, który niegdyś cały park otaczał. Dzisiaj wichur północny powyłamywał w tym murze otwory i szczyby, i zrobił go w wysokim stopniu malowniczym. Jałowiec, kalina i dzikie zielsko dostarczyły naturalnego ornamentu temu genialnemu architekcie natury.

Edmund znał te mury, ale wtedy był jeszcze małym chłopcem. Dzisiaj nie wiele zmieniły się, bo one żywo liczą na wieki. Tylko to, co ręka współczesnych zrobiła, pochyliło się znacznie do upadku i sprawiało widok nie miły. Poręcze pogniły i pospadały z podpór, brama wisiała tylko na jednym wrzeciędzu. Okna w mieszkalnej części pałacu zmatowały się i świeciły przepalone od słońca różnemi kolorami tęczy.

Na skrócie do samego pałacu zaszedł jadącemu drogę jakiś przygarbiony człowiek w płóciennej bluzie. Patrzał chwilę, potem zdjął czapkę i nisko się uklonił

— Przecież raz wyczekotała sroka coś dobrego! — krzyknął tubalnym głosem — Wielmożny pan Edmund! Całuję stópki wielmożnego pana, zawsze wierny i poddany sługa Ipana dobrodzieja!

Przygarbiony człowiek zbliżył się do wózka i aż do stopnia pochylił połamany, słomiany kapelusz. Pan Edmund przypatrzył mu się bliżej.

Był to stary człowiek z siwym wieńcem wkoło łysej głowy. Twarz miał opaloną, ręce grube, narobione. Bure oczy zdradzały umysł ubogi, ciężarem pracy codziennej wcześniej przygnębiony.

— Któż jesteś, przyjacielu? — zapytał Edmund, nie mogąc w pamięci swojej tego człowieka odszukać.

— Jak to? Nie poznajesz wielmożny pan swego uniożonego sługi, starego Burskiego...

— Ah! Burski! Tam do kata! Postarzałeś się! Dzieścięć, piętnaście lat, to przecież nie tak wiele!

— Jak dla kogo, jak dla kogo, wielmożny panie. Dla młodych chłopców to nie wiele, dla starych to gmach! A toż się stary hrabia ucieszysz!

— Przecież ma malowanego diabła!

Burski drgnął na te słowa, a potem trwożliwie wkoło się obejrzał. Poczem zapytał pocichu:

— To wielmożny pan już wie o tem?

— Wszyscy ludzie o tem wiedzą i mówią — odparł z uśmiechem Edmund.

Burski otworzył szeroko oczy i podniósł przygarbione ramiona do góry.

— Obawiałem się tego, ale inaczej być nie może! — rzekł po chwili z westchnieniem.

— I cóż to za sprawa z tym diabłem malowanym?

— Sam wielmożny pan go obaczy, ja tam o nim mówić nie będę. Dosyć, że trzy niedziele nie miałem ani snu ani wypoczynku, aż mi gwardyan OO. Reformatów święty szkaplerz na szyi zawiesił! Dosyć jest źle samemu, staremu człowiekowi na świecie, ale żeby z malowanym diabłem...

— Wszak miałeś dzieci.

— Miałem syna i córkę; syn umarł, gdy był wielki pomór w całym kraju, a córka...

— Poszła za męża?

— Gdzie tam, wielmożny panie!

— Więc jest przy ojcu?

— Nie mam jej! Wzięli mi ją, oderwali od mego serca, tak jak felczer wrywa żyłę, aby z niej krwi upuścić... Boże zapłać im!

— Stało się jakie nieszczęście?

— Nieszczęścia nie ma, ale też i szczęście poszło w las!... Hej mocny Boże, a przecież nic, zgoła nic nie potrzeba mi do tego szczęścia, tylko głupich... głupich (tu mówiący zrobił znak palcami, jakby pieniądze liczył)... tych głupich dydków!... Tak wielmożny panie! Dzisiaj tych dydków każdemu trzeba: naszemu hrabiemu, i nadleśniczemu z puszczy berezkiej, ale mnie, mnie przedewszystkiem! Gdybym je miał, byłbym znowu ojcem dziecka mego!... Gdybym je uzyskał, gotówbym nawet za to malowanemu diabłowi duszę zapisać!...

Edmund nie mógł dłużej słuchać zwierzeń starego Burskiego, których nie rozumiał, bo właśnie w tej chwili na omszonym krużganku jak zakłęta księżniczka pokazała się biała postać młodej, cudownie pięknej kobiety. Miała białą, wiotką suknię z szafirową przepaską. W jednej ręce trzymała bukiet kwiatów, a drugą przykładła lornetkę do oczu.

Edmund kazał szybko podejść pod kamienne schody, a za kilka sekund był już w obszernej komnacie pierwszego piętra, i ścisnął rękę nadobnej dziewicy w białej sukni.

— Widzisz z mego ubrania, *cher cousin* — mówiła piękna dziewczyna dźwięcznym głosem — że ciebie oczekiwałam. Chciałam cię przywitać w białej sukni z kwiatami w ręku, tak jak zazwyczaj wyobrażają sobie boginią szczęścia!...

— Nim na to piękne słówko również pięknie odpowiem — odparł Edmund z uśmiechem — pozwól, *ma chère cousine*, że najprzód zachwycę się twoim widokiem. Lat dwanaście, mój Boże, ileż to zmiany zaszło od tego czasu, *ma chère Adelaide!*



Rzekłszy to wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do framugi okna. Światło w całej pełni padało teraz na ubraną w bieli dziewicę.

Była to rzeczywiście piękność skończona. Wzrost słuszny i wysmukły czynił ją podobną do Junony. Z wysokiego, wyniosłego czoła spływały pukle ciemnych włosów na śnieżne, jakby z marmuru wykute ramiona. Twarz podłużna oznaczała spokój grecki; oczy ciemne świeciły przyćmionym, jednostajnym blaskiem. Różowe usta, wąsko wycięte, wznosiły się końcami do góry i miały wyraz jakby zmieszany z dobrotliwego uśmiechu i lekkiej ironii.

Wogóle wszystkie rysy były wybitne i starannie wykończone. Gra ruchu w tych rysach była prawdziwie mistrzowska. Każdej myśli, każdemu, choćby przelotnemu marzeniu odpowiadał układ rysów, dokonany bez żadnego wyteżenia, z całym spokojem i pewnością.

Gdy sobie Edmund sen dzisiejszy przypominał, spojrzawszy z uwagą na czoło swojej kuzynki, czy nie obaczy tam owych skręconych promieni światła, które go dzisiaj we śnie tak niepokoiły.

I w samej rzeczy na skroniach pięknej kuzynki błyszczały jakieś dziwne światelka, jakby ślady potartego fosforu.

— Adelajdo! — rzekł Edmund do pięknej kuzynki — widzę cię piękną jak Junonę, a przyszedł mąż twój musi być Jowiszem!

— Aby jak Jowisz mnie oszukiwał! — odpowiedziała Adelajda grożąc kuzynkowi różowym paluszkami, który tenże w tej chwili ucałował.

— A gdzież kochany stryj? — zapytał po chwili.

— Ojciec — odpowiedziała z lekką chmurką Adelajda — w swojej galerii obrazów, jak ją sam nazywa. Dostał właśnie w zamian za pakę książek kilka starych obrazów od Iglą, i teraz zajmuje się oczyszczeniem tych obrazów w nadziei, że wykryje monogram Rafaela, Rubensa lub przynajmniej Vandyka!

— Zamiłowany w sztuce?

— Od pięciu lat niczem innym nie żyje!... Jest nawet zazdrośny o swoje mniemane skarby; dla tego najlepiej będzie, jeżeli w tej chwili zostawimy go czas niejaki przy jego ulubionym zatrudnieniu. Tymczasem możemy przejść się po ogrodzie. *Donnez-moi votre main cher cousin.*

Edmund podał rękę pięknej królowej, która oparła się na niej z wdziękiem pozującego modelu. Najwybredniejszy artysta mógł się nią w tej chwili zachwycić.

Przechodząc koło stołu, wzięła ze srebrnej tacki pozłacany dzwonek i zadzwoniła.

Stary, w wytartej liberyi służący zjawił się na progu. Na guzikach liberyi były herby, a nad nimi szeroko rozpostarta mitra książęca.

Na widok tych guzików uśmiechnął się Edmund.

— *Anatole* — rzekła Adelajda do służącego — jeżeli pan

z galerii wyjdzie i o mnie zapyta, powiesz, że hrabia Edmund przyjechał, i że z nim wyszłam na przechadzkę do ogrodu.

Służący skłonił się w milczeniu.

Edmund z piękną kuzynką zeszli ze schodów.

Ogród, po którym teraz oboje się przechadzali, był niegdyś świetnym. Jakkolwiek klimat podgórza niektórym drzewom wcale nie sprzyjał, widać jednak było, że wysilano się w rozmaity sposób, aby z nim stoczyć walkę korzystną. Ale siły człowieka musiały z czasem uleść, a burze, zimna i wiatry rozpoczęły dzieło zniszczenia. Olbrzymie kasztany stały teraz bezlistne, dęby nawet zmarniały, tylko brzozy, świerki i sosny zieleniły się jeszcze.

Nawet i kamień nie wytrzymał nacisku wiatrów północnych. Obrosły mchem nikał z czasem powoli, a piękne niegdyś posągi gubiły zwolna palce i nosy, a w końcu nawet i głowy zaczęły spadać z pochylonych tułówów i walały się pomiędzy pokrzywą i bodakami. Zaledwie kilka głównych ulic oczyszczono do codziennego użytku, dalsze plany ogrodu przedstawiały w miniaturze obrazki dziewiczego lasu w Ameryce.

Przechadzka po tych ruinach dawnej zamożności i zbytku nastroiła Edmunda poważnie, chociaż rozmowa pięknej kuzynki dotykała rzeczy codziennych.

Rozmawiano wiele o stosunkach rodzinnych. Edmund był kilka lat za granicą, zresztą mieszkał w innej części kraju. Od dwunastu lat nie był w tych stronach i nie wiedział, co się z tutejszymi krewnymi dzieje. Wiele więc musiał wysłuchać od pięknej kuzynki, która jak kronika rodzinna mówiła o wszystkim z nadzwyczajną biegłością. Dowiedział się, jakie związki w rodzinie zawarto, które były dla niej korzystne a które niekorzystne, które rody weszły do związku rodziny, i jakie przez to osiągnięto korzyści.

Edmund słuchał z niejakiem roztargnieniem. Nie dla tego, aby historia rodziny mało go obchodziła, ale z tej prostej przyczyny, że był w tej chwili innymi marzeniami zajęty. Obrazy najbliższej przyszłości kraju rysowały się przed nim w rozmaitych zarysach, jedne trwożyły go, drugie zmuszały jego twarz do uśmiechu.

Dobra godzina upłynęła, gdy się napowrót do pałacu zbliżyli. W progu spotkał ich stary służący. Na zapytanie Adelajdy, czy ojciec już skończył swoją robotę, odpowiedział zaprzeczeniem głową.

— Odpoczniemy trochę na balkonie — rzekła Adelajda do swego kuzyna — niech ojciec ukończy tymczasem swoje ulubioną robotę.

Edmund zgodził się chętnie na to. Oboje usiedli na kamiennym krużganku, który podtrzymywały wyniosłe, śmiejące się karyatydy i umizgujące się do nich satyry.

Edmund spojrzawszy na cudowną dolinę, która roztaczała się u ich stóp jak obraz olbrzymi.

Kilka chwil trwało milczenie.



— Niech co chcą, ludzie mówią — ozwał się Edmund po jakimś czasie — przecież to życie jest piękne, jest darem Boga, za który jesteśmy mu nieraz tak mało wdzięczni!

I zachwycony przesunął okiem od jednego końca widnokregu do drugiego.

Adelajda spojrzała na kuzyna. Jej ciemne, szkliste oczy przesunęły się zwolna po całej jego twarzy. Arystokratyczne usta zadrgały lekko ironicznym uśmiechem.

— Szerszy świat — rzekła do niego z urokiem pięknego satyrka — ściera zazwyczaj z naszej duszy złudzenia młode, sielankowe. U ciebie, *chér cousin*, inaczej się stało. Długoletni pobyt za granicą, i do tego jeszcze pobyt w Paryżu, nastroił cię sentymentalnie i oczom twoim dał szkła różowe! Jeżeli tak dalej pójdzie, to za lat trzydzieści zaczniesz pisać poematy o zielonych drzewach i śpiewających ptaszkach!

Mówiąca z lekkim, satyrycznym uśmiechem Adelajda była nadzwyczaj urocza. Po jej klasycznie pięknej twarzy przemykały jakieś błyski i światełka, jej ciemne oczy uśmiechały się ze złośliwą rokoszą rusalki.

Edmund z upodobaniem patrzył na piękną kobietę. — Słowa twoje, kochana kuzynko — rzekł po chwili — nie dziwią mnie wcale, odkąd najsmaczniejsze konfitury zaczęto smarzyć na — occie.

— Konfitury z octem są dobre — odparła, ale ocet naszego życia pozostanie zawsze octem!

— Gdzież widać ten ocet?

— Patrz! Ten las błękitny na dalekiej górze, który tak artystyczne światło udziela trzeciemu planowi i od białych obłoków tak cudownie odbija, ten las olbrzymi był niegdyś majątkiem jednego z naszych krewnych. Dzisiaj przeszedł w posiadanie Niemca z Berlina, który tam wystawił tartaki i kuźnice, i teraz miliony ztamtąd dobywa!

Adelajda drgnęła tutaj konwulsyjnie.

— Ile razy na te góry patrzę — mówiła dalej z zaciśniętymi ustami — tyle razy ściska mi się serce, że tak ubożjemy, tak upadamy! Gdyby to jeszcze tak upadali ludzie szeregu, ale my... my z szewronami!

Edmund z uwagą spoznał na mówiącą. Adelajda mówiła dalej:

— Tam na prawo wrzyna się potok głęboko w dolinę i sprawia wysokie, malowniczo połamane brzegi, ocienione grupami drzew malowniczych. Widok to piękny, jakby dla artysty stworzony! Ale zważ, kochany kuzynie, że ten potok od swego źródła aż do ujścia należał niegdyś do dziada mojej matki, a dzisiaj pokrajany jest na kawałki, jak to widzisz z pól zasianych, podzielony między drobnych ludzi, którzy nawet nie wiedzą, jakie tradycje przywiązują się do tej ziemi!

Edmund patrzył zamyślony przed siebie.

— A na lewo — mówiła po chwili dalej Adelajda — to

już prawdziwa rokosz dla oka artystycznie zbudowanego. Z poza sinej góry wychylają się wieże i kopuły świątyń pańskich, a wkoło nich rozsiadły się dachy domów, przykleknęły kominy, jakby słowa Bożego słuchać pragnęły!... To miasto powiatowe, którego nazwisko tworzy nazwisko matki mojej! Antenaci moi używali z chlubą tego nazwiska, ciosali herby swoje na bramach miasta: a dzisiaj, dzisiaj z tego wszystkiego zostało nam tylko z całego miasta prawo propinacji. Pijacy to dzisiaj jedyni nasi poddani i kontrybucenci, bez nich nie mielibyśmy na kawałek chleba!

Twarz Adelajdy zmieniła się przy tych słowach. Usta zacisnęły się z goryczą, oczy błyszczały jaśniej.

— Stara budowa społeczeństwa wali się — rzekł więcej do myśli swoich Edmund — a natomiast musi nastąpić nowa, jakiej obecny duch czasu wymaga.

Adelajda z zadziwieniem spojrzała na kuzyna. Uśmiech złośliwy dodał jeszcze więcej uroku jej twarzy.

— Ach! mówisz, jakbyś był apostołem tego nowego porządku rzeczy... wymówiła przeciągle.

Edmund zarumienił się lekko. Żywo odpowiedział:

— Chętnie byłbym apostołem nowych idei i teorii, gdyby te teorie przywróciły nam dawny stan rzeczy!

Adelajda zamyśliła się. Edmund pochylił także głowę w zadumaniu. O czym oboje myśleli?

Na daleką, lasem obrosłą górę, na wieżyce i kopuły domów bożych padały kolejną oczy Adelajdy. Marzyła o nich, jako o dawnej własności antenatów matki, a dzisiaj... Edmund także marzył, ale marzył inaczej. Marzenia jego wybiegły ponad ciasny horyzont doliny podgórskiej i przeniosły się daleko na północ, wschód i zachód.

Kilka chwil trwało milczenie. Pierwsza ozwała się Adelajda z natchnieniem w piersiach:

— Ponieważ już weszliśmy na taki tok rozmowy, ponieważ, kochany kuzynie, jesteś w tej chwili najbliższym krewnym naszym, nie weźmiesz mi więc za złe, że przed tobą otworzę serce moje, którego jeszcze przed nikim nie otworzyłam. Uczynię to tem chętniej, że wiem, iż moja skarga jest zarazem twoją.

Edmund ocknął się z zamyślenia. Spojrzył na Adelajdę, która ciemnymi oczami patrzyła w tej chwili na niego. Było w nich jakieś rozczarowanie, które gwałtownie pociągało, ale oraz i nakazywało uszanowanie. Edmund widział w tej chwili w Adelajdzie królową, która mogłaby kochać jak kobieta, ale przytem nie przestałaby być królową. Z ciekawością słuchał jej patrząc w jej twarz cudownie piękną.

— Nie lubię — mówiła Adelajda z uspokojeniem nagle rysami twarzy — nie lubię skarżyć się przed ludźmi, a nawet przed ojcem moim. Ty jednak, kochany kuzynie, zrozumiesz mnie, bo sam jesteś w tem samem położeniu, i przyznasz mi, że największym nieszczęściem w naszym stanie jest ubóstwo!



Gdy Adelajda te słowa wymawiała, bawiła się jedną ręką sznurkiem orleańskich pereł, które na jej szyi wisiały. Jasny promień słońca odbijał się w brylantach pierścionków i w emailowanym złocie kunsztownej bransolety.

Edmund uśmiechał się.

— Ubóstwo jest to wyraz względny — rzekł po chwili.

— Ty go przecież zrozumiesz — podjęła żywo Adelajda — bo nie mówię o tych ubogich, którzy żebrzą pod figurą. Stokroć oni są szczęśliwsi! Ile razy takiego żebraka spotkam, ile razy usłyszę od niego słowa: jaśnie wielmożna pani, jałmużny dla biedaka... tyle razy bierze mnie ochota spojrzeć mu w oczy, aby wyczytać, czy on nie drwi sobie ze mnie, czy to nie jest złośliwa ironia?... Czemże jest jego ubóstwo w porównaniu z naszym ubóstwem?... Do czego on, a do czego my jesteśmy zrodzeni?... On potrzebuje tylko zaspokoić głód swój i pragnienie, a jakiej skali jest nasz głód i nasze pragnienie!

— Dla czegoż sztucznie rozszerzać tę skalę? — zauważał półgłosem Edmund.

— Sztucznie? Czy to, cośmy po naszych rodzicach odziedziczyli, nazywasz sztuką? Czyż to nie jest naszym obowiązkiem, ukoronować gmach społeczeństwa i być jego sklepieniem? Czyż na sklepienie nie dobiera się najlepszego materiału, czyż my nie jesteśmy tym materiałem?... Biada społeczeństwu, jeśli nas strąci do poziomu, a jeszcze więcej biada nam, jeśli sami z nagłownika wyniosłych pilastrów na ziemię spadamy.

— Masz zbyt wysokie o nas wyobrażenie.

— Powiedziałeś „o nas“ — żywo przerwała Adelajda — to już dobrze. Myślałam, żeś został apostatą. To stanowi wielką moją pociechę. Ludzie równych wyobrażeń i powołań są więcej sobie niżeli krewni!

Adelajda wyciągnęła z pod przeźroczystego batystu małą, alabastrową rączkę i podała Edmundowi do uścisku. Rączka ta nie była zimna w tej chwili, drżała nawet wzruszeniem, które odbijało się w pięknych oczach zarumienionej lekko kuzynki.

Edmund uściśnął tę rączkę i doznał sam wzruszenia, które zatarło w jego pamięci ostatnie słowa Adelajdy; a zapomniawszy tym sposobem o warunku, w jakim ta rączka była mu podana, przyjął dar tak miły i uroczy i długi czas nie mógł się nim dosyć nacieszyć; tak mu z tem było dobrze i przyjemnie.

Adelajda cofnęła rękę, jakby się czegoś nagle przełękła. Najprzód zadziwienie zarysowało się na jej twarzy, potem głęboka zmarszczka podzieliła jej wyniosłe czoło na dwie połowy.

Milczała czas niejaki, jakby skupiała rozpierzchłe myśli. Powoli uspokajała się jej twarz, rysy wracały do zwykłego porządku.

— Niech cię nie dziwi, kochany kuzynie, moje wzruszenie — rzekła po jakimś czasie, jakby tłumacząc się

z jakiegoś przewinienia — dzień dzisiejszy jest dla mnie dniem niezwykłym. Sześć lat prawie, to jest od śmierci nieboszczki matki, nie widziałam twarzy człowieka, z którym bym w podobny sposób mówić mogła. To, o czem dzisiaj z tobą mówię, stanowi jedyną tajemnicę serca mego, a tej tajemnicy przed nikim nie wypowiedziałam! Gdy nam doniesiono, że dla obejrzenia zapisanego ci przez ciotkę folwarku tutaj przyjedziesz i nas prawdopodobnie odwiedzisz, wyjęłam z bórki matki mojej twoją miniaturę i długi czas w nią się wpatrywałam. Pomyślałam sobie: oto człowiek, który tak samo jak ja ugina głowę pod ciosem tego samego nienawistnego losu; on pojmie i zrozumie mnie, przed nim otworzę serce moje!

Edmund wpatrywał się coraz więcej w piękną, posagową postać Adelajdy. Gdyby Canova chciał wyciosać z karraryjskiego marmuru uroczą postać kobiety, nie mógłby znaleźć piękniejszego modelu, chociażby takim modelem chciała mu być księżniczka modeńska!

— Wszak przez te lata tyle ludzi mogłaś widzieć, kochana Adelajdo! — rzekł z pewnym niepokojem.

— Jakich ludzi? — odrzekła Adelajda i dumnie wstąpiła głową — Czy tych, co tam w tych maluczkich dworach mieszkają i owies sięją?... Wiem, com winna sobie, com winna memu urodzeniu! Wiem, jak się światu okazywać winnam, i spodziewam się, żebym rolę moją godnie odegrać umiała (tu wyprostowała się i głowę rzuciła do góry, a złote promienie słońca odbiły się od jej jasnej skroni i zarysowały wkoło jej głowy kształt królewskiej korony); ale do odegrania tej roli brak nam środków, jesteśmy za ubodzy.

Postać Adelajdy zgięła się przy tych słowach i wyobrażała uosobioną biedę i cierpienie.

Edmund potarł ręką czoło. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się widzieć kobiety, któraby zdolną była przebyć w swojej wyobraźni tak różnorodne sytuacje, i z taką prawdą wyrazić je całym układem swojej postaci. Coś podobnego tylko artystki pierwszego rzędu mogą zdziałać. Adelajda zaś nie czyniła tego dla poklasku widzów; przechodziła ona sama dla siebie w rzeczywistości te sytuacje, o jakich mówiła. Jak silną była potęgą jej uczuć i wyobrażeń, jeśli nad całą jej postacią miała taką władzę?..

Kobiety silnych uczuć i namiętności są w stanie porwać w zaczarowane koło swego świata każdego, kto się do nich niebacznie zbliża. Edmund poczuł, że stoi na brzegu tego koła, chociaż sam nie wiedział, jak się to stało. Czuł w duszy jakieś dziwne wzruszenie, i byłby w tej chwili przeklął manią swego stryja, który lubił stare obrazy odczytywać, gdyby w tej chwili skończył swoje ulubione zatrudnienie i z progów galerii wyszedł ku nim z jakim Rafaelem lub Rubensem.

Jest tajemnicza struna w duszy, która, gdy się poruszy,



zastanawia równocześnie wszystkie inne funkcje umysłu. Z człowiekiem dzieje się wtedy podobnie jak z maszyną, której działalność ustaje za pociśnięciem małej sprężyny, chociaż na pozór ruch maszyny nie jest przerwany. Ruch tylko odosobniony jest od zasłoniętego warsztatu, ale na zewnątrz odbywa się jak wprzód.

W takim stanie był w tej chwili Edmund. Nie można powiedzieć, aby w tej chwili zakochał się w pięknej swojej kuzynce; ale doznał pewnego wrażenia, w którym chciałby pozostać jak najdłużej, nic nie myśląc, nie rozumując, nie układając naprzód, słowem, w zupełnej bezczynności ducha, która jednak była dla niego nader rokoszną...

W tej chwili skrzypnęły drzwi w salonie. Adelajda nie słyszała skrzypnięcia. Być może, że drzwi balkonu napół przyknięte nie dopuściły tego odgłosu do jej ucha, a może też tak głęboko pogrążoną była w rozpamiętywaniu swego ubóstwa, że nic słyszeć nie mogła.

Edmund jednak usłyszał i zwrócił się ku drzwiom salonu.

Nagle drgnął, jakby przestraszony widmem, i szybko zerwał się z krzesła.

Najprzód w otwartych drzwiach ujrzał obraz olbrzymi, przedstawiający jakiś potwór kobiecy, oświecony sinem światłem księżycy z jednej strony, a zachodzącym czerwonym blaskiem słońca z drugiej strony.

Z poza ram tego olbrzymiego obrazu wystawały dwie małe, malowniczo zagięte rączki, które ten obraz trzymały, a u dołu poniżej obrazu pojawiły się nóżki tak drobnych rozmiarów, jakby należały do pięcioletniego dziecięcia.

Ten obraz ruchomy, na dziecięcych nóżkach, wyobrażający napół nagą kobietę z dzikim wyrazem na twarzy, sprawiał tak dziwne wrażenie, że Edmund zaskoczony w bezmyślnych swoich marzeniach, stanął nagle jak wryty, i cały wzrok w ruchome widmo utopił.

— Adelciu! Adelciu! — ozwał się z poza brzydkiego obrazu głos piękny i dźwięczny.

Adelajda usłyszała ten głos i obróciła głowę.

— Czego chcesz Oldziu? — zapytała z chmurką na czole.

— Patrz — mówił dalej głos niewidomy — patrz, jak mi się udało odnowić ten obraz; ojciec twój będzie zachwycony! Sama podziwiam siebie i mój talent!

Edmund słuchał z coraz większym zdziwieniem tych słów, które z pełnej piersi wypływały jak perełki, uderzając o struny gitary.

Obraz zbliżał się coraz więcej do balkonu.

— Oldziu! *Que faites vous?* — rzekła gniewnie Adelajda — nie jestem samą!

Teraz nagle zniżył się obraz do ziemi, a ponad jego górną ramą zeszała, jak bładny księżyc na błękitnych tapetach salonu, twarz piękna i młoda, o dużych ożywionych oczach i pełnych różowych ustach.

Takiego ukrytego za obrazem diabełka nie spodziewał się w tej chwili Edmund, chociaż w nocy śnił o nim cudowne rzeczy.

Twarz nad ramą obrazu okazała zrazu wielkie zadziwienie. Białe czoło sfałdowało się w urocze zmarszczki, a duże szafirowe oczy zakłopotają się sromotnie.

— W ładny sposób przedstawiasz się memu kuzynowi — rzekła z uśmiechem Adelajda, bo przerażenie Olgi stawało się komicznym — a wczoraj właśnie układałaś sobie tyle pięknych rzeczy o nim!... Towarzyszka moich lat dziecięcych — dodała do Edmunda, wskazując na zakłopotaną dziewczynę.

Edmund ukłonił się.

— Olga Burska — dokończyła Adelajda.

Olga ukłoniła się nawzajem, zarumieniwszy się po sam rąbek żółtawej tuniki, w której było jej bardzo do twarzy.

Edmund przypomniał sobie ciemne, nie zrozumiałe słowa starego Burskiego. Coś zaczęło mu się rozjaśniać.

— Olga maluje — mówiła dalej Adelajda — i sprawia memu ojcu niespodziewaną rokosz, restaurując stare jego, zapyłone obrazy.

Edmundowi przyszedł teraz na myśl portret jego, zawieszony na ścianie folwarcznej, który prawdopodobnie był kopią miniatury, jaką miała matka Adelajdy.

Zapewnie myśl tę odgadła piękna artystka, bo powtórnie cała zarumieniła się.

Dalsza jej rola była nader trudna. Odstawiła obraz na bok i stanęła na środku salonu, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Edmund widział ją teraz całą.

Była średniego wzrostu, miała kibić wysmukłą i wiotką. Twarz nie miała rysów odznaczających się pięknymi liniami, a nawet nosek był trochę do góry podniesiony; ale za to był na niej rozlany jakiś wdzięk nadzwyczajny, jakby piękna dusza tej dziewczicy nie wewnątrz ale zewnątrz ciała siedlisko swoje obrała. Osobliwie duże, szafirowe oczy miały tyle tego niewysłowionego wyrazu, jakie Rafael oczom swoich świętych niewiast nadawać umiał.

Zdawała się być w równym wieku z Adelajdą, to jest, mogła mieć lat dwadzieścia jeden lub dwa, a trzy najwięcej.

W zwykłym trybie życia widok obcego mężczyzny nie zadziwia tak bardzo kobiety, na parkietach salonu wychowanej. Znajdzie się zawsze jakieś słówko dowcipne, jakaś odpowiedź misterna, jakaś uwaga niezwykła, która pierwszą rozmowę nawiąże i dalszy jej wątek rozstrzeże. Są nawet w tym celu pisane grube książki po francuzku, które dopomagają samorodnemu dowcipowi, gdy w niefortunnym znajdzie się położeniu. Dla czego jednak Olga, towarzyszka Adelajdy i razem z nią wychowana, tak niefortunnie teraz wyglądała i nienajlepsze o sobie obcemu mężczyźnie wyobrażenie dawała, trudno odgadnąć. Zdaje



się, że wczoraj coś za wiele o spodziewanym kuzynku z Adelajdą się mówiło i myślało, a teraz o to się obawiano, aby pan Edmund przez ducha świętego o tem wszystkim się nie dowiedział.

Rola tedy dalsza, jak na początek, była rzeczywiście trudna. I byłaby jeszcze trudniejszą, gdyby w tej chwili służący w wytartej liberyi nie był się w salonie zjawił i gościa do właściciela pałacu zaprosił.

Edmund podał rękę Adelajdzie; przechodząc koło Olgi zawałał się chwilę, co zrobić, ale tylko ukłonił się i wszedł do otwartych podwoi.

W dużym, podłużnym pokoju, zastawionym olbrzymiemi obrazami, siedział przed sztalugą mały staruszek, o białych włosach, i zmaczaną gąbką wycierał dolny brzeg starego obrazu.

Gdy Edmund z Adelajdą weszli do pokoju, staruszek nie przerwał bynajmniej swego zatrudnienia.

— *Cher papa* — ozwała się Adelajda — przecież Edmund zasłużył sobie, aby ojciec dla niego rozstał się na chwilę z Rubensem!

Staruszek z zadziwieniem spojrzał na córkę.

— Któż ci o tem powiedział, że to Rubens? — zapytał żywo — czy może Anatol? Ten plotkarz psuje mi najpiękniejsze moje niespodzianki!... *Cher Edmond* — rzekł zwrócony do kuzynka — lepiej przywitać cię nie mogę, jak dać ci pierwszemu spojrzeć na monogram Rubensa!... Patrz to R zakręcone i te trzy kreski!...

Adelajda spojrzała z ironicznym uśmiechem na stare, zadymione malowidło.

Edmund nie patrzył w tej chwili na monogram Rubensa, bo inny widok zwracał na siebie jego uwagę.

W dużym zwierciadle, które wisało naprzeciw drzwi otwartych, prowadzących do przyległego pokoju, widział wykrzywioną twarz w czerwone szaty ubranego diabła!

Odbicie w zwierciadle tego złowrogiego niepoczciwca było tak złudne, tyle grozy było w jego okrągłych oczach, że Edmund, pomnąc na opowiadanie pocztyliona i przestach starego Burskiego, nie mógł w żaden sposób oczu od niego odwrócić.

Spostrzegł to staruszek, spojrzał na zwierciadło i drzwi otwarte, i zmarszczył brwi krzaczyste.

Wstał szybko i zamknął drzwi. Widmo w zwierciadle znikło.

Zasmucony tym wypadkiem staruszek porzucił obraz, jakby odszukany na nim monogram Rubensa już go wcale nie cieszył, podał rękę Edmundowi, i wszyscy weszli do salonu, aby ceremonią przywitania inaczej odbyć, niżeli to się stało w galerii obrazów.

W salonie stała jeszcze na tem samym miejscu Olga, jak grzesznica, czekająca na rozgrzeszenie za skryte grzechy swoich marzeń wczorajszych.

(Ciąg dalszy nastąpi)

## OSTATNIA SCHADZKA.

Dziś rozstawać się mieli ze sobą,  
Na jak długo — nie wiedzieli sami,  
I przedzielić się przestrzeni mgłami,  
I podzielić się wspólną żałobą.  
Do tej samej ławeczki pod bzami,  
Kędy pozną siadywali dobą,  
Dzisiaj przyszli rozstawać się z sobą,  
Na jak długo — nie wiedzieli sami.

Jak kwiat róży życie obrywali,  
Aż nie stało miękkich listków dłużej;  
I nczuli, że się niebo pali  
Po nad nimi błyskawicą burzy;  
Że im razem już nie płynąć dłużej,  
Jak dwom łodziom złączonym na fali:  
Jak kwiat róży życie obrywali,  
Aż cierń losu wyrzwał z pod tej róży.

Tak się bawi z ludźmi dola czarna,  
Tak ich wiedzie, Bóg wie, gdzie i po co;  
Trudno ujrzeć kłos z nadziei ziarna,  
Twardy grad je powybija nocą  
Albo ciężkie konieczności żarna  
Na drobniuchny pyłek podruzgocą:  
Tak się bawi z ludźmi dola czarna,  
Tak ich wiedzie, Bóg wie, gdzie i po co!

Wszystko było tutaj, jak bywało:  
Taż na kwiatach niestrząśnięta rosa,  
Też nad nimi błękitne niebiosy,  
Flotą chmurek zaludnione białą;  
Taż kapela ptaków srebrnogłosa,  
Którą echo echu podawało;  
Taż na kwiatach niestrząśnięta rosa;  
Wszystko było tutaj, jak bywało.





A. Bodenmüller  
Landsberg 1872  
A. Will

L. Ruff x A

Ostatnia schadzka. (Ob. stron. 31.)



Więc nie mogli pojąć i uwierzyć,  
Żeby z nimi tylko się zmieniło;  
Żeby można było szczęście przeżyć,  
Kiedy tyle jego świadków żyło;  
Kiedy serce ich chciało uderzyć,  
Jak zwyczajnie na tem miejscu biło:  
To nie mogli pojąć i uwierzyć,  
Żeby nagle wszystko się zmieniło.

Aż im błysła w duszy prawda sroga  
I wydarła gorzkie łzy z pod powiek:  
Że kwiat stalszy jest i ptak — niż człowiek,  
I spokojniej leży w ręku Boga;  
Że też same skargi płyną co wiek,  
A niezmienna gwiazd wieczystych droga;  
To im prawda błysła w duszy sroga  
I wydarła gorzkie łzy z pod powiek!

Tak spojrzawszy w oczy swojej doli,  
I zmierzywszy ciemną jej głębinę,  
Szli, za ręce wzięwszy się, powoli,  
Jak milczące cienie przez dolinę:  
Zatapiając bolu wzrok sokoli  
W oddalenia mgły głębokie, sine;  
Patrzając twardo w oczy swojej doli,  
I nurtując ciemną jej głębinę.

Aż o późnym wieczorze wrócili,  
Na ostatnie pożegnania słowo,  
Na tę białą ławeczkę brzozową,  
Gdzie im było spoczywać najmilej;  
Gdzie tylekroć jutrenkę różową  
Płonąciami oczyma wstydzili:  
Tam o późnym zachodzie wrócili,  
Na ostatnie pożegnania słowo.

Ach, jak słowo owe się rozbiło  
Na słów nowych, wciąż nowych tysiące!  
Jak osina mieli ręce drzące,  
Serce z sercem rozrywali siłą;  
Tyle łez im z oczu się toczyło,  
Żeby niemi zagasili słońce!  
Ach, jak słowo owe się rozbiło  
Na słów nowych, wciąż nowych tysiące!

Przysięgali, że się będą szukać,  
Przysięgali, że się znaleźć muszą,  
Że codziennie nieśmiertelną duszą  
Do niebieskiej bramy będą pukać,  
Że pamięci ich ludzie nie zmuszą,  
Czas tęsknoty nie zdoła oszukać:  
Przysięgali, że się znaleźć muszą,  
Przysięgali, że się będą szukać.

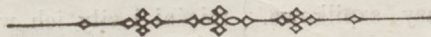
I kończyli i znów zaczynali,  
Ani wiedząc, jakby się rozłączyć:  
Jak szemrzące jedno usta fali,  
Którym chyba Bóg nakaże skończyć;  
Chciwą ręką kielich ten trzymali,  
I do dna go nie mogli wysączyć,  
I kończyli i znów zaczynali,  
Ani wiedząc, jakby się rozłączyć.

Aż nareszcie zerwać się musieli,  
I rozbiegli się widząc dzień biały.  
Lecz ich myśli — których nic nie dzieli —  
Długo sobie usta podawały;  
Lecz ich dusze, jako dwaj Anieli,  
Po nad czasem splecione leciały;  
Chociaż wreszcie zerwać się musieli  
I rozbiegli się widząc dzień biały.

Taką była ta schadzka ostatnia.  
Nie zaiste, ostatnią nie była!  
Choć ich życia oplątała matnia  
I na długo od siebie rzuciła,  
Znowu zwiodła ich — czy ręka bratnia,  
Czy też losu ironiczna siła.  
Tak ta schadzka, w dolinie ostatnia,  
Na tej ziemi ostatnią nie była.

Znów się zeszli — choć się nie szukali —  
Lecz jak obcy, jak spokojni byli!  
Już nie mogli nawet dojrzeć w dali  
Owej słodkiej pożegnania chwili,  
I znalazłszy się znowu — poznali,  
Że na prawdę wtedy się zgubili.  
Tak się zeszli — choć się nie szukali —  
I zupełnie obcy sobie byli.

Władysław Ordon.





## Znaczenie owadów w życiu nas otaczającym.

Owady obok cudownej organizacyi posiadają nie mniej cudowne zdolności. Doskonałość mikroskopowych organów, które posiadają owady, dowodzą, iż mogą one spełniać różnorodne prace. I w samej rzeczy ci drobni architekci wykonują tak pyszne i piękne budowy, że zaliczylibyśmy opisania o nich do bajek, gdyby badanie tych żyjątek nie było tak łatwem dla każdego. Są między nimi budowniczy, murarze, tapicerzy, papiernicy, stolarze, fabrykanci kart i t. d., tak że jeden uczony angielski zoolog podzielił klasę owadów według rozmaitych rzemiosł, którymi się one zajmują. Lecz są owady leniwe, nie lubiące pracy, prawdziwe darmozjady, bawiące się wojną tylko i rabunkiem.

Rzućmy okiem na organizacyą tych istot, nie wdając się zbyt w szczegóły, któreby mogły zmęczyć uwagę czytelników. Anatomia i fizjologia owadów, w porównaniu z mechanizmem ludzkim, uderza bardzo niesłychanem bogactwem swoim. W najdrobniejszych szczegółach ich organizacyi przyroda umiała połączyć siłę z niesłychaną wytwornością i delikatnością mechanizmu.

Motylek, mucha, upokarzają dumę człowieka, i niezważając na zabiegi jego, niszczą lasy, zjadają plon cały i doprowadzają go do rozpacz. Aby się ochronić od jadowitego i boleśnego ukąszenia komarów w Japonii, marynarze przybywający z Francyi i Anglii muszą twarz swą pokrywać dziegiem. Mucha domowa, niewinne stworzenie u nas, męczy niemiłosiernie podróżnych, zwiedzających kraje ciepłego klimatu. Tam boją się jej więcej niż hyeny i szakala, i bronią się od niej trzymając całe armie niewolników. W niektórych okolicach afrykańskich stepów widzieliśmy nieraz dzieci u piersi matki do tego stopnia pokryte muchami, że twarzy obaczyć było niepodobna. U nas owady nie atakują do tego stopnia żyjącego człowieka; jednak zdarzało się nieraz, że muchy, karmiące się ścierwem, napadały na pijanych, pogrążonych we śnie, składały swe jaja pod skórą twarzy i głowy, a młode potomstwo, karmiąc się żyjącem jeszcze ciałem ludzkim, przyprowadzało o śmierć nieszczęśliwych.

Lecz szczególnie na lasach naszych i polach przejsie owadów pozostawia fatalne ślady. Legiony tych istot napadają na pola i niszczą plon cały w dniach kilku. Kto uwierzy, że sama sosna karmi swemi sokami około czterdziestu gatunków owadów szkodliwych jej rozwojowi. W krótkim przeciągu czasu kilka zancocnic (*Phalaenae*) z aksamitnymi skrzydłami niszczą całe lasy szpilkowe. W niektórych miejscach mała żółta mucha, w czarne paski, *chlorops lineata*, strasznie szkodzi rolnictwu, karmiąc się ziarnami. Linneusz powiada, że ta mucha corocznie

zjada w Szwecyi piątą część zbioru owsa, to jest najmniej sto tysięcy korcy. W środkowej Francyi ten owad niszczy połowę kłosów na polach. Drugi, przezwany *Dacus oliwny*, corocznie zjada oliwek na trzy miliony franków w samej Francyi. Nareszcie motylek *świcogas* (*Pyralis*) wielkie zrządza zniszczenia w winnicach, i nauka dotychczas nie znalazła środka do wytepienia tego szkodliwego owadu.

Jeżeli drzewa, napadnięte przez owady, nie giną, stają się chorowitemi, niekształtnymi. Gąsienica prządki sosnowej, ślicznej maleńkiej zancocnicy ze złotymi skrzydełkami, niszcząc pączek znajdujący się na końcu łodygi sosny, skrzywia wierzchołek drzewa, które traci swą piękną i wzniosłą postać i karłowacieje. Ukąszenie jeszcze mniejszego owadu, którego oko dostrzedzby nie mogło, gdyby się nie okrywał wełnianą białą powłoczką, sprawia na jabłoniach brzydkie narosty, zabijające czasami drzewo.

Organizacya tych małych istot jest prawdziwie cudowna. Zróbmy małe porównanie. Jeżeli podejmiemy rękę, a potem ją opuścimy, zajmie to czasu nie mniej jak sekundę; komar, którego skrzydła odpowiadają naszej ręce, w sekundę robi pięćset poruszeń. Zwykła mucha, przelatując w sekundę przestrzeń sześciu stóp, uderza skrzydłami w tym czasie sześćset razy; jeżeli zaś zostanie spłoszona, przestrzeń, którą przelatuje a zarazem szybkość poruszania skrzydłami sześćkroć się powiększa, to jest porusza skrzydła 3600 razy w tym czasie, gdy człowiek może zrobić jedno poruszenie. Obliczenie prawdziwie zdumiewające!

Budowa tego powietrznego wiosła nie mniej godna podziwu. Chwyćmy najdelikatniej za skrzydełko motylka, na palcach zawsze zostanie kilka cząsteczek, wyglądających jak pyłek drobnutki, któremu owad zawdzięcza swe cudowne kolory. Lecz spojrzawszy na pyłek ten przez powiększające szkło, obaczycie, że każde ziarnko jest to rodzaj drobnego porysowanego piórka, błyszczącego różnemi kolorami. Jeden koniec zwykle ząbkowany, drugi zaś ma drobnuchną nóżkę, którą każda podobna łuseczka przyczepia się do przeźroczystej błony skrzydła. Spojrzawszy na cząstkę skrzydła w drobnowidz obaczymy, że łuski te są ułożone symetrycznie i jedna na drugiej jak dachówki na dachu, a ponieważ wszystkie są równe co do wielkości, a różnią się tylko kolorem, obrazek przedstawia mozaikę cudownej delikatności.

Różnorodny ruch człowiek odbywa za pomocą mięśni przyczepionych do kości. Owady pod względem ilości mięśni i siły ich wyżej stoją od człowieka, gdyż człowiek posiada zaledwo 370 mięśni, gdy zwykła gąsienica podług obliczenia *Lyonnet'a* ma 4000 mięśni. Owady przewyższają nas także i w sile. Człowiek z trudnością posuwa poziomo



ciężar ważący 40 funtów, to jest tyle, ile waży trzecia część jego ciała; owad zaś podjadek, ważący około 4 gramów, usuwa za pomocą swych szerokich łapek trzy funty, to jest rozwija siłę, która jest większą 375 razy od ciężaru jego ciała.

Nózki owadów, chociaż nie są tak piękne i ruchliwe jak skrzydła, godne są, aby na nie zwrócić uwagę. U pszczołki roboczej są one prawdziwymi arcydziełami, bo służą w jednym czasie za koszyk, szczoteczkę i szczypczyki; jeden ze stawów bowiem jest szczoteczką prawdziwą, niezmiernie delikatną, która służy pszczołce do zmiatania pyłku kwiatowego, osiadającego podczas pracy na grzbiecie i brzuszku. Drugi staw, wyłobiony nakształt łyżeczki, służy za skład jednorazowego zbioru miodu, który pszczołka przynosi do ula, jest to więc koszyk do prowizyi. Nakoniec schylając się jeden ku drugiemu te dwa stawy tworzą rodzaj szczypczyków, oddających wielkie usługi w budowie plastrów. Niektóre owady wodne zamiast nówek mają rodzaj wiosłek; mucha na końcu nówek ma błonki ząbkowane, które pozwalają jej utrzymać się bez żadnego trudu na zwierciadłach i ciałach najdokładniej wypolerowanych.

Zmysł dotykania u owadów, niezmiernie rozwinięty, jest dla nich środkiem porozumiewania się. Mrówki mówią do siebie za pomocą dotykania. Gdy dwa te rozumne stworzenia spotkają się, można zauważyć, że się dotykają wzajemnie wąsikami, potem zmieniają kierunek swej drogi, jakby po wspólnym porozumieniu. Hubert przyniósł do domu króbkę napelnioną mrówkami, i otworzył ją w zupełnie ciemnym i zamkniętym pokoju. Natychmiast mrówki rozbiegły się w różne strony szukając swobody. Jedna z mrówek odkryła otwór, przez który można było wydostać się z więzienia; natychmiast wróciła nazad, dotknęła się jednej, drugiej, trzeciej mrówki, te znowu dotknęły inne, i następnie wszystkie mrówki zebrały się i w szyku porządnym ruszyły za przewodniczką.

Wszystkie większe zwierzęta posiadają tylko parę ocz, najdrobniejsze owady mają ich mnóstwo. Mrówka, której przyrząd widzenia jest mało rozwinięty, posiada około pięćdziesięciu ocz. Mucha zwykła ma ośm tysięcy, a u niektórych motylków naliczono do dwudziestu pięciu tysięcy. Każde z tych licznych oczu ma swoją rogówkę, swoje ciało szkliste, swoją powłokę z barwidła i swoje nitkę nerwową. Drobne te oczy są tak pospajane z sobą, iż składają gatunek oka wspólnego, którego powierzchnia przedstawia rodzaj siatki. Są one nieruchome, lecz tak wielkie, że zajmują prawie całą głowę, ważąc niekiedy tyle, co trzecia część ciała. Te silne optyczne narzędzia przedstawiają ciekawe odmiany według warunków życia

owadów. Owady, które szukają pożywienia w nocy, mają oczy ciemniejsze, żeby lepiej pochłaniać najmniejsze promienie światła; u owadów mięsożernych oczy są wielkie. U niektórych wodnych owadów jest czasami kilka par oczu: jedne są skierowane na dół, a drugie do góry, tak że pływając po wodzie owad widzi rybę, która nań czyha w głębi wody, lub ptaka, który gotów rzucić się nań z góry; od pierwszej ochrania się uciekając, od drugiego dając nurka. Mówimy tu o tych chrząszczykach wodnych, błyszczących jak dyamenty, gdy słońce je oświeci, a które każdy pewno widział biegające po wodzie z nadzwyczajną szybkością.

Owady są obdarzone nadzwyczajnie rozwiniętym zmysłem powonienia. Każdy najmniejszy zapach uderza je na bardzo wielką przestrzeń. W powietrzu, napełnionem aromatem tysiąca kwiatów polnych lub ogrodowych, owad rozróżnia zapach tej rośliny, którą lubi, i rzuca się do niej dla nasycenia się, lub powonienia jej swego potomstwa. Na dalszą przestrzeń owad mięsożerny czuje zwierzę, którego ciało karmi go. Rzućcie kawał mięsa i zakryjcie go czarnym szklannym dzwonem, a wkrótce ujrzycie w tem miejscu mięsożerne muchy, których tam poprzednio nie było. Owad nigdy się nie myli, i jeżeli w rzadkich wypadkach błąd popełni, to chyba wtedy, gdy zapachy są zupełnie podobne. Naprzykład kwiaty Stapelii lub Arum ściągają pewne owady swym zapachem gnijącego mięsa; owady oszukane podobieństwem składają w nich swoje potomstwo, które ginie następnie z braku pożywienia. Zmysł ten tak delikatny zawiera się w ruchomych różkach, znajdujących się na przodzie głowy. Duges ucinął różki u motyli i u much, i przekonał się, że owady te już nie mogły odszukać swego pożywienia. Człowiek i wszystkie większe zwierzęta mają dwie tylko jamy nosowe, służące do wąchania, u ryb organ powonienia składa się z dwóch małych, ledwie widocznych woreczków, gdy tymczasem chrząszcz posiada około miliona podobnych, lecz mikroskopijnych woreczków.

Muszą też mieć owady osobne organa słuchu, bo się poznają i zwołują za pomocą wydawania różnych tonów w skutek ocierania pewnych części ciała jednych o drugie, lub w skutek ich szybkiego ruchu. Lecz gdzie się znajduje ten organ, tego dotychczas nie dośledzono. W tym względzie jednak uderza pewna okoliczność, że te istotki słyszą tylko te tony, które są im potrzebne, podczas gdy inne, chociaż najsilniejsze, nie obchodzą ich bynajmniej. Królowa pszczoł brzęczeniem zaledwo słyszanem porusza swój lud i prowadzi za sobą całą armię wojowniczą. Lecz wystrzelcie z pistoletu koło ula, żaden owad nie ruszy się, jak gdyby nie słyszał strzału.

(Dokończenie nastąpi)



# Ktoby się spodziewał!

HUMORESKA.

NAPISANE

WŁADYSŁAW ORDON.

(C I A G D A L S Z Y)

## III.



Zaledwo zamilkło echo kroków matki, dziewczyna porwała się na równe nogi i pobiegła do okna... Wyjęła szybko rękę z zanadru, jakby sparzona. W tej ręce był maleńki, ale maleńki, powiadam państwu.. bilecik..

Obejrzała się cała drżąca w około siebie, zawahała się, cofnęła raz jeszcze... i złamała pieczętkę...

Bujnem, eleganckiem pismem wykaligrafowano na górze...

„Panno Zofio!“

Dziewczyna odskoczyła i schowała list...

— Zdawało mi się, jakby kto na mnie zawołał — szepnęła!... Nie... nikogo nie ma! Zkąd on zna moje imię!... I wykrzyknik na końcu! Jaki gwałtowny!... Czy mam czytać dalej? Ba! kiedym już zaczęła, zresztą radabym wiedzieć, czy pisze tak pięknie, jak Adolf do Julii... Otworzyła list i czytała żywo, jak w zwierciadle w twarzy odbijając wszystkie wrażenia, przestraszona i szczęśliwa, gotowa śmiać się i płakać.

„Już sześć miesięcy, jak panią pierwszy raz zobaczyłem. Czy pamiętasz jesienne przechadzki po suchych liściach alei. Szedłem za tobą i twoją matką, robiąc mniej szelestu od wiatru, który igrał z twojemi włosami. Szczęśliwy wiatr! Ubodzy przed kościołem znali mnie, i kiedym wychodził, wołali: „Młody panie, daj nam jałmużnę, musisz być szczęśliwy“. Było to wtedy, kiedy ciebie widziałem! Czy grasz jeszcze walce Straussa i Ständchen? Ież razy słuchałam ich pod waszemi oknami. Ach! przepadam za Ständchen. Przychodzi na myśl zaraz księżyc i zielone żaluzye, a za niemi dwoje błyszczących oczu. Nie mogłem wytrzymać już dłużej. Przychodzę. Złożyłem list w altance, bo wierzę w Opatrzność i w przecucie.. Pewny jestem, że go znajdziesz... Nie będziesz się na mnie gniewać, nieprawdaż?.. O bo my się kochamy, a kiedy się kochamy... no to się kochamy. Co za rozczulająca niedorzeczność! Mógłbym ją powtarzać całemi godzinami. Upredziłem cię... W wieczór czekam cię w altance. Przekłęta wieś! od trzech dni szukam próżno sposobności... Podchodziłem aż pod same okna domu. Poczciwa tłusta dziewczyna w oberży powiada.. szkoda, żeby taki piękny chłopiec chudł i mizerniał... Bądź zdrowa; wieczorem!... Twój...“

Tu następował nieczytelny wykręt, najgenialniej i najzuchwałej w świecie zakreślony.

— Otóż masz — zawołała dziewczyna z rozpaczą, siląc się odczytać — co za szkaradny nałóg podpisywania się w zakrętach. Ani rusz przeczytać!.. Ach, jakże mu na imię, jakże mu na imię!

Usiłowania były daremne... Biedna Zosia opuściła ręce i stała jak posąg zamyslenia, z jasnowłosą główką na bok nachyloną...

Naraz uderzyła rękami i skoczyła z trwogą...

— Wieczorem!.. ach mój Boże! napisał, że przychodzi wieczorem, a wszakże to już wieczór...

Wychyliła głowę za okienko. Słońce zachodziło po za siniejący w oddali las, ozłacając drzew szczyty; świeższy wiatr zawiewał, liście szeptały, jakby namawiając się; w dalszych alejach ogrodu słyhać było gwar zmieszanych głosów i stąpanie... Po nad innemi głosami górował jeden, gniewny i rozkazujący.. Zosia zbladła i cofnęła się od okna.

— Matko Boska, to ojciec! i w strasznym swoim humorze! Co oni tam robią? Ach, zdradził się swojemi śladami! Jeszcze gotowi schwytać go, pobić... Kto wie? Zabić może...

I na samą myśl o tem oczy dziewczęcia napęłniły się grubemi łzami... Załamała rękę...

— Co robić, jak poradzić? — szepnęła z rozpaczą — Czy ja wiem, gdzie go szukać?.. Zwierzyć się przed matką? Ona się może domyśla... Wszakże widziałam, jak oglądała się nieraz, kiedy chodził za nami w jesieni.. Ale jeżeli się rozgniewa... Ach któż mi pomoże?... — zawołała z bezsilną żałością, zasłaniając sobie twarz rękami...

— Ja... i z całego serca! — odpowiedział jej głos czyjś za plecami...

Dziewczyna cofnęła się i obejrzała trwożliwie...

Po za nią stał czcigodny professor Oczko, z uśmiechniętą słodko twarzą, lekko i filuternie przymróżonem lewem okiem, przypatrując się jej z roskoszą i rozważą, jakby przeżuwał jakiś ważny zamiar...

— Ach, jakże mnie też pan przestraszył! — zawołała z dąsem Zosia...

— A to czem, gołąbku? — zapytał z przymileniem profesor — czy mojemi siwemi wąsami (mówił to przez kokieterią, wąsy bowiem były wyczernione i po kawalersku nastroszone)?



— Bynajmniej, ale tem nagłem odezwaniem się... Dawno pan tutaj? — dodała z obawą.

— Od chwili, od chwili, aniołku! Wszedłem tu przy ostatnich słowach twoich i radbym wiedzieć, co duszyczkę moję w ambaras taki wprawia?... wszystko gotów jestem zrobić!... No, cóż to było!... ośmielmy się — dodał pieścizotliwie... O czem że to mówiliśmy?...

— O niczem, marzyłam głośno — odparła uspokojona już Zosia, myśląc teraz tylko o tem, jakby najrychlej pozbyć się zalotnego staruszka i wydostać się do ogrodu dla ujrzenia, co się tam dzieje. Ale professor nie wydawał się bynajmniej w chęci zakończenia tego tête à tête, owszem zdawało się, że był nader rad z okoliczności i korzystać z niej postanowił, ba! myślał nawet zabrać się do dłuższej rozmowy. Przystawił bowiem krzeselko jedno Zosi a drugie sobie przy oknie, w ten sposób, jakby ją chciał zabarykadować i odwrót jej odciąć. Wyjął potem fular z kieszeni, obtarł uważnie okulary i nałożył, poprawił czupryny i odchrząknął. Na te wszystkie przybory i namaszczoną minę profesora Zosia spoglądała z roztargnieniem i niecierpliwością, wreszcie zdobywając się na odwagę zawołała...

— Ach! profesorze, dobrze, żem sobie przypomniała... Przepraszam pana, że go zostawić muszę na chwilę samego i pójść spełnić polecenie mamy...

— Powolutku, klejnotku — rzekł zatrzymując ją za rękę, której już nie puścił profesor — na wszystko będzie czas, a teraz dziesięć minut musisz podarować przyjacielowi, który cię o to prosi...

— Ja natychmiast wrócę! — prosiło się dziewczę...

— A ja natychmiast odejdę, koraliku — odparł z pewną powagą profesor — odejdę, skoro ci rzeczy wielce ważne dla mnie a może i dla ciebie wypowiem...

— Cóż to być może? — z ukrytą niecierpliwością i wzrastającym roztargnieniem zapytała dziewczyna...

— Cierpliwości, cierpliwości! mój klejnotku — rzekł profesor jeszcze bardziej pieśczenie, trzymając ją za rękę i przysuwając się bliżej... Czy myślałaś też kiedy o miłości?

— Ja? — zawołało dziewczę, zalewając się rumieńcem, na myśl, że Oczko domyśla się może, i przyciskając mimowolnym ruchem ukryty w zanadru bilecik... Co znaczy to zapytanie?

— Wybornie — rzekł do siebie profesor wpatrując się z rozkoszą w różową twarzyczkę sąsiadki — niewinność aż tryska przez skórę! tego mi potrzeba... I dodał głośno: — Dziwi cię moje zapytanie? Zaraz się wytłumaczę!... Słyszałaś już może tu i ówdzie brednie o zapałach, uczuciach wzajemnych, uniesieniach.. Wszystko to frazesy, ognie bengalskie, po których trochę dymu i osmolonych papierków zostaje... Jedyne szczęście jest w przywiązaniu spokojnem, pewnem i wiernem doświadczonego człowieka,

dla którego życie już nie ma tajemnic, a uczucie każde zapuszcza korzenie w nim głęboko...

— Do czego on dąży? — szepnęło do siebie dziewczę, niespokojnie nasłuchując, co się dzieje w ogrodzie. — Ach, żeby już sobie poszedł!...

— Taki tylko człowiek — ciągnął dalej profesor z miną zadowolnioną i z naciskiem, jak gdyby przysłuchując się sam sobie i poklaskując — taki tylko człowiek młodą i niewinną duszę od burz i zawodów uchroni, a jeśli się z nią połączy, da jej głębokie przywiązanie dojrzałego mężczyzny i czułą opiekę ojca... Taką...

— Profesorze, jeżeli to wyjątek z nowego twojego traktatu — przerwała niczego nie pojmująca dotąd Zosia, to chciej odłożyć to na później, bo mama gniewać się na mnie będzie...

— Będziemy ją przeproszać oboje — odparł bynajmniej nie zbity z tropu pan Oczko — a teraz posłuchaj dalej... Taką, powiadam, duszyczką świeżą i zagrożoną mnóstwem nieszczęść i cierpień życiowych, jest twoja, aniołeczku, dusza, a cóżbyś powiedziała... gdyby...

W tej chwili w głębi ogrodu rozległ się głośniejszy i jakby urwany wrzask.. Wrzask ten wzmagął się i zbliżał.

— Czy słyszysz pan? — zawołała gwałtownie Zosia — co się tam dzieje!...

— Eh! to ojciec twój wyprawia komedye ze swoją obławą, kopie doły, zastawia żelaza... A skończy jak zwyczajnie... Żab nałapie, nakrzyczy się i spocznie... To nic, dzieciątko moje — rzekł słodko — pozwól mi dokończyć...

Wziął ją za rękę, a drugą wysunął jakby pragnąc ją objąć... Zosia bez tchu i samowiedzy, zaszuchana, nie rozumiała, co się koło niej dzieje...

— A cóżbyś powiedziała, pytam się — rzekł pochylając się ku niej profesor — gdyby tym człowiekiem, który chce cię ocalić i miłością a opieką cię otoczyć, gdybym tym człowiekiem był ja!...

Professor wstał i z miną zdobywcy, ze słodkim uśmiechem czekał efektu słów swoich... Nie miał jednak czasu na odebranie odpowiedzi, bo nagle rozdarł powietrze okrzyk okropniejszy od wojennego hasła Mohikanów, zaszumiały krzaki, słychać było biegnących w różnych kierunkach ludzi i głos gromowy p. Alfreda...

— Trzymaj! łapaj! Zachodźcie mu od lasu. Zastępnij mu od drogi! Tu być musi! Wyciągnąć się w łańcuch!...

Zosia targnęła się i chciała biedz ku drzwiom... Professor zastąpił jej drogę...

— Zgadzasz się więc?... — zapytał wyciągając do niej rękę.

— Na wszystko! na wszystko! tylko idź pan, ratuj, zapobiegnij nieszczęściu! Tam się coś okropnego dzieje!...

— W tej chwili idę; ale weź pierwej ten pierścień na znak, że przyrzekasz być moją żoną...



— Pańską żonę? — zawołała odurzona Zosia... — Tu rozległo się dalekie i żałośnie wycie psa, i naraz wrzask wzmógł się i w stronę tego wycia potoczył.

— Idź pan, idź pan!... zaklinam — zawołała błagalnie Zosia — niech go nie zabijają...

I upadła nieprzytomnie prawie na kanapę. Profesor tłumacząc sobie to wzruszenie na swoje korzyść, wcisnął jej obrączkę na palec, pocałował ją z galanterią w rękę, i dla uspokojenia jej wybiegł jak najskorszym mógł krokiem... Zosia ze łkaniem uklękła przy oknie i gorąco poczęła się modlić...

#### IV.

Wróćmy teraz na chwilę do pani Herminii, w rozpaczy szukającej posłańca, i zapalonego pomstą pana Alfreda...

Posłaniec się znalazł. Była nim maleńka wiejska, Inianowłosa, zasmolona dziewczynka, która jak wiatr popędziła do miasta z króciutkim bilecikiem, zawierającym te słowa:

„Niebaczny młodzieńcze, ratuj się i nie śmiej się pokazać blisko mojego domu. Wszystko przebaczam za tę cenę... Inaczej prócz nieszczęścia, innego owocu swych szaleństw nie zbierzesz. Mąż mój cię śledzi.“

Podpisu nie było. Pani Herminia nie wątpiła, że serce wskaże biednemu zuchwalcowi, z kąd bilecik i rada... zresztą dziewczyna miała instrukcją... Po tym bohaterskim czynie p. Herminia wróciła do swego pokoiku i zatopiła się w Złotym Ołtarzyku. Tymczasem p. Alfred na czele pięciu parobków, służącego i ogrodnika... rozpoczął walną kampanią... Pod żywoplotem, okalającym ogród, pokopano doły, lekko trzcina i ziemią przykryte, pozastawiano żelaza... Najpiękniejsze kwiaty pani Herminii leżały pokotem; stłuczono szybko w inspektach, rewidując klomby i krzaki. Wreszcie ujrzawszy, że poszukiwanie na teraz było daremnem, i że winowajca nie znajdował się w ogrodzie w tej chwili, p. Alfred postanowił wziąć go niespodzianką, i zdradliwie zaczałszy ludzi tu i ówdzie, urządziwszy łapki, sam z fuzją w rękę za altanką się przytulił i czekał... Wieczór już był prawie zupełny. Zabierało się na deszcz, więc mrok zapadał żywiej niż zwykle... Parobcy w zasadzce śmieli się i pokpiwali pocichu. Naraz od strony lasu gałęzie żywoplotu się poruszyły, i pokazał się młody mężczyzna w słomianym letnim kapeluszu, po myśliwsku przybrany, pocichu na psa cmokając. Rozejrzał się ostrożnie, i wstrząsając bujnemi blond włosami, przesadził płot i cicho posunął się ku altanie... W tem miejscu trawa gęsta i miękka zagłuszała jego zresztą i tak baczne kroki. Duży klomb malw i gęsto splecione krzaki malinowe zasłaniały go... Zaledwo jednak postąpił kilkanaście kroków, zdało mu się, że mu ziemi naraz braknie

pod nogami. Gwałtownym ruchem uskoczył na bok i upadł jak długi... To upadnięcie jego miało dziwne echo... Tuż za nim naraz dał się słyszeć okrzyk:

— Trzymaj go! jest! jest!... i ktoś stanął przed nim jakby wyrósł z ziemi, zastępując mu drogę..

Młodzieniec skoczył na nogi, silnem pchnięciem powalił przeciwnika i jak sarna pomknął krzakami... Rotowy ogień okrzyków ścigał za nim. Zdawało się, że wszystkie drzewa mają ręce.

Na prawo i lewo zabiegały mu ciemne postacie jakieś drogi.. Dwa razy kurs ten szalony odbył się wkoło ogrodu... Ścigany słyszał za sobą przyspieszony oddech goniącej go zgrai i wyteżał siły... Jednakże byłby się może nie wywinął, gdyby nie nagła dywersja... Żałośnie wycie psa rozległo się przy nastawionych żelazach... Połowa przeciwników, zbита z tropu, z wrzaskiem tryumfu rzuciła się w tę stronę; p. Alfred, który ochrypl i zgubił się w tej gonitwie, co chwila chwytając kogoś z własnych ludzi, parł na przedzie ku żelazom i z wściekłą radością wypalił w powietrze... Za nim biegł zdyszany i zgniewany Oczko...

Tymczasem ścigany młodzieniec, korzystając z chwili, rzucił się boczną aleją i umykał co siły... Wyprzedził jedyne, uparcie jeszcze pędzącego za nim ogrodnika, i pędził na oślep... Na chwilę przystanął słysząc wycie psa, jakby się chciał wrócić, i westchnął.

— Biedny Medor! gotowi go zabić... A na jakąż ja wściekłą bestyą trafiłem, że mnie tak ściga!... Byłoby to ojciec?!.. I uciekał dalej.

Naraz stanął przed domem... Tuż przed nim było okienko owite bluszczami. Zawahał się chwilę, ale słysząc okrutniejsze jeszcze i zbliżające się wrzaski, odsadził się i jednym skokiem stanął w pokoju...

Na stuk ten niespodziany modląca się Zosia skoczyła na równe nogi...

Pierwszem jej wrażeniem była niewymowna radość, skoro ujrzała młodzieńca żywego i całego...

— Nie skaleczyli pana! — zawołała podbiegając ku niemu.

— Nie, ale niewiele brakowało — odrzekł przybyły wpatrując się z zachwyceniem w młodą dziewczynę... O mało nie zabiłem się w jakimś dole, i dalibóg zdaje mi się, że ktoś strzelił...

Dziewczyna załamała z przerażeniem ręce...

— Spodziewałam się tego. To ojciec... Ale teraz, teraz — zawołała z rozpaczą, gdzie pana ukryć, co poczniemy!...

— To wszystko nie potrzebne — odrzekł z uśmiechem przybyły — wydyszę się, a potem zaczekam tutaj na ojca pani i matkę!...

— Ależ mój ojciec pana zabije, jeżeli go tu znajdzie!...

— Bardzo wierzę, bo to okropny człowiek; co ja mu jednak uczyniłem, nie pojmuję...



— Ja sama nie rozumiem tego — odrzekła rumieniąc się Zosia, i teraz dopiero spostrzegając się dodała... Jednakże to, coś pan dotąd robił, i coś pan teraz zrobił, nazywa się szaleństwem i zasługuje na karę...

— Bah! — odparł młodzieniec — rzeczy wzięły niespodziewany obrót; chciałem zrobić inaczej, widzieć się z panią... dowiedzieć się, czy mnie kochasz... bo chociaż zdawało mi się, nie byłem pewny, wyprosić twoją zgodę a potem zgodę rodziców...

— Ależ to tak się nie robi... zauważała uśmiechając się a pół dąsając dziewczyna...

— Dalibóg nie wiem, jak się to robi inaczej... Wiem tylko, że kocham cię, żem ci tego nigdy sam nie powiedział, że musiałem ci to powiedzieć, że żyć bez ciebie nie mogę! Poradziłem więc sobie na mój sposób. Zresztą to oryginalny pomysł, a te nie zawsze bywają udatne. Lepszego mnie nie uczono... i bah! uczono mnie całkiem czego innego... Ale dajmy temu pokój! Widzę cię, mówię z tobą, jestem szczęśliwy!...

— Panie — rzekła cofając się z rumieńcem Zosia — ja nie wiem, czy to tak wolno...

— Co do tego, nie umiem nic odpowiedzieć pani. Pierwszy raz znajduję się w takim przypadku. Ale czasu mało, a ja chcę wszystko powiedzieć. Szukam w tej chwili słowa, najbogatszego, żeby w niem wyrazić, wyspiewać, wypieścić wszystko, co mam na sercu, i znajduję tylko jedno: kocham cię!...

Nie wiem, jakby się była znalazła w tej chwili bohaterka naszej powieści, gdyby była miała czas do odpowiedzi... Ale zabrakło czasu, bo nagle cała ścigająca gromada zbliżyła się ku domowi. Ktoś pobiegł po latarnię. W około domu deptano i krzyczano i biegano.

— Uciekaj! — zawołało dziewczę... uciekaj! przez mój pokój na drogę — i otwierała boczne drzwi...

— Nigdy — zawołał żywo młodzieniec. — Raz tę Scyllę i Charybdę przebyć wypada... Zaczekam tu odważnie na twoich rodziców. Zostaw mnie samego... Niech ja przetrwam pierwszy nacisk burzy... (Dok. nast.)

## W albumie nieznajomej.

Gdy słońce od wschodu pozdrawia zagony,  
Wnet ze snu powstaje kłos blaskiem zbudzony;  
A ufny w pogodę, gdy z nią jest w zamęzciu,  
Wypręża się z dumą ku słońcu, ku szczęściu...  
Nie widzi drugiego, co zdeptan usycha,  
Ni stopy depczącej... — Szczęśliwych to pycha!  
Tak losu wybraniec zasklepia się w celi  
Sobkowstwa, tak szczęście nie łączy a dzieli.  
Lecz wicher niech z świstem po łanie zawyje,  
Niech pomkną po chmurach pioruny jak żmije,  
Niech hukną po sklepie zwiastuny zagłady,  
I luną nawalnie potopy i grady, —  
A burza rycząca przy huku, przy trzasku,  
Niech kłosa połamie, niech splącze na piasku: —  
To przyszłość rozerwać tych węzłów nie w stanie,  
Ni burza powtórna ni wtóre świtanie!  
Nad słońca, nad gromów, nad piekła to siły  
Rozłączyć — co wichry niedoli złączyły.

\* \* \*  
Śród takiej zawiei, raniony rozbitek  
Na skale,  
Wyciągam do siostry nieznanej dłoń obcą  
Zuchwale!  
I wołam, przy trupie matczynym, gnąc oba  
Kolana:  
Ty musisz mi sprzyjać, ty musisz, o siostrzo  
Nieznana!  
Bo serca dwa nasze, ranione pioruną  
Tą strzałą,  
Co matkę nam wspólną zabiła, — cierpienie  
Zbratało.  
Ryc burzo, krusz jarzmo, lub morduj gromami  
Przemocy;  
Lecz złamać nie zdołasz przymierza boleści  
Sierocej!...

Mikołaj Epstein.





Poczta wiejska.



# ROCZNICE HISTORYCZNE.

## I.

### Wezwanie Władysława III. na tron węgierski 23. stycznia 1440.

Jeśli historia dla każdego ludu drogocenną jest mistrzynią życia, o ileż droższa ona dla narodu pozbawionego egzystencji politycznej, żyjącego już tylko wspomnieniami przeszłości i nadzieją lepszej kiedyś przyszłości!

Uciskani i prześladowani nieraz krwawo, unieśliśmy z powszechnej powodzi nieoceniony skarb narodowości, jedynie dzięki zachowaniu w życiu języka, w pamięci zaś dziejów ojczystych. Z temi bóstwami rodzinnymi przychodzi nam się często tać wobec wrogów, którzy dziś jeszcze w dawnej Litwie, Mało- i Wielko-Polsce za najdzielniejszy środek wynarodowienia uważają zniewalanie drobnej dziatwy szkolnej do rozpoczynania nauk, nie wyłączając nawet religii, w mowie obcej.

O nauce też historii i literatury ojczystej w szkołach pod rosyjskim i pruskim zaborem nie można myśleć; przed niewielu, jeszcze laty wydalano tłumnie z gimnazjów pruskich młodzież, która śmiała w godzinach pozaszkolnych kształcić się w tych przedmiotach, poczytując tak znaczne usiłowanie za zbrodnię.

U nas, mimo większej nierównie swobody, w uniwersytecie lwowskim brak zupełnie katedry historii polskiej. Tak więc wszystko w tej mierze pozostawiono prywatnym staraniom, a przyznać trzeba, że dziś skutkiem dziwnego jakiegoś opadnięcia patryotycznego termometru, skutkiem grzesznej obojętności i oziębłości bezmyślnej, mniej już nierównie zapału, mniej ochoty do obznajmiania się z przeszłością narodu, niż przed kilkudziesięciu laty.

Jestto podobno w znacznej części wynikiem zamętu w pojęciach, wpływem źle zrozumianej praktyczności, tej niefortunnej zastępczyni wybujałej nad miarę uczuciowości naszej. Pochwyceni szerokim prądem pozytywizmu w nauce i w życiu, mało dbamy o to, co rdzeń istoty naszej stanowi.

Związani szczupłością ram ściśle zakreślonych, nie myślimy się rozwódzić nad tem, czy i o ile nowy ten zwrot na korzyść lub szkodę nam wyjdzie, czy się stale między nami rozgości lub też wkrótce przeminie, jak tyle innych z zagranicy importowanych nowości.

Zdaniem naszym prasa peryodyczna, która ostatnimi czasy dała pochop do zaniedbania, a przynajmniej do stawiania na drugim planie narodowych dziejów, powinna obecnie rozbudzać zamiłowanie do tej drogiej po przodkach spuścizny.

Tą myślą kierując się redakcja Strzechy postanowiła zamieszczać w swych szpaltach oddzielne, pewną skończoną całość stanowiące studia i szkice historyczne

obok tego zaś pod stałą rubryką w każdym zeszytce podawać krótkie obrazki pod wymienionym powyżej tytułem.

Artykułki te nie mogą ani też potrzebują być wyczerpujące, ich zadanie bowiem polega głównie na zachęceniu szerokiego koła czytelników do samodzielnej pracy w raz wytkniętym kierunku.

Zdrowy zmysł narodu pojął już zbawienność tej drogi, chwytając się z uznania godnym zapałem uroczystego obchodzenia ważnych chwil historycznej przeszłości, jak przed kilku laty unii lubelskiej, w przeszłym roku stu-letniej niewoli, w obecnym czterechsetletniej rocznicy urodzin Kopernika itd.

Nie chcąc wszakże zasłużyć na zarzut, iż obchody te wypływają jedynie z płochej demonstrowania, winniśmy także rozpamiętywać znaczenie ważniejszych wypadków historycznych; i otoż do czego byśmy pragnęli pudydzić czytający ogół, otóż cel tej zbieranej drużyny kamyków, z których chcielibyśmy przez długie lat szeregi (życząc Strzesze Matuzalowego wieku) ułożyć nierówną, lecz barwną mozaikę ojczystych dziejów...

\* \* \*

W dniu 23. b. m. 433 lat dobiegło od chwili, gdy sąsiedni Polsce naród węgierski zaprosił Władysława, syna Jagiełły, na tron opróżniony po nagłej śmierci cesarza Albrechta.

Świetne to były dla Polski czasy! Brzmiała Europa zarówno sławą uczoności jak potęgi ramienia Polaków. Postronni ludy widząc, jak błogo Polsce pod rządami Jagiellonów, tuliły się pod ich opiekuńcze skrzydła; — cóż kiedy nawrócony niedawno Jagiełło, pomawiany przez Długosza o brak pobożnego ducha, jedynie przez zbytnią dobroć serca i religijną gorliwość odmówił przyjęcia korony czeskiej, nie chcąc panować hussyckiemu ludowi, oddając tak lekkomyślnie bratnią krainę pod zarząd wrogiego teutonizmu...

Wnukom tegoż Jagiełły przyszło wszakże zasiąść na czeskim tronie po śmierci Jerzego z Podjebradu, nasza Władysławowi na madziarskim po zgonie niemieckiego cesarza.

Jakiej opinii zażywali wówczas polscy królowie za granicą, świadczy wymownie fakt, iż powołano Władysława, jak donosi Długosz, ze względu na groźne dla kraju sąsiedztwo potężnych Turków, dopiero po długim a dokładnem rozważeniu przymiotów mnogich książąt katolickich; „lecz chociaż się wielu nastęrczało, po dokładnem



ich jednak porównaniu i ocenieniu, Władysław król polski okazał się zdaniem powszechnem najlepszym i najpożądalszym ze wszystkich; żaden bowiem, krom Władysława, nie byłby zdolnym zasłonić Węgier od zuchwałej Turków napaści.“

W starozapusty przybył do Krakowa świetny orszak posłów od narodu węgierskiego i królowej Elżbiety, wdowy po Podjebradzie, jako to: Jan, biskup segedyński, Matko de Thalocz, ban Sławonii i Dalmacyi, Emeryk de Marcellis, marszałek dworu, Jan Starszy (major) de Peren i Władysław de Paloucz.

Król wysławszy na ich przyjęcie za miasto brata i późniejszego następcę swego, Kazimierza, na czele duchownych i świeckich dostojników, kazał ich hojnie i wspólnie ugościć.

Przez kilkanaście następnych dni trwały między poselstwem a królem i panami polskimi układy. Władysław, acz mu przykro było opuszczać rodzinną ziemię dla objęcia rządów w kraju obcym i nieznanym, party przeciw wrodzonemu sobie uczuciu rycerskości, czując się powołanym do powstrzymania pracy coraz więcej naprzód tureckiej nawały, gotów był przyjąć wezwanie, jeśli zebrana w Krakowie rada panów uzna to za dobre i zbawienne. Dla wielkości sprawy nie wahał się nawet młodzieńczy monarcha poświęcić osobistych uczuć i zdecydował się podobno, jak utrzymują nasz Długosz i niektórzy historycy, na zaślubienie królewskiej wdowy Elżbiety, podeszłych już lat niewiasty.

Po długich naradach i rozprawach, wśród których różne objawiano zdania, stanęło wreszcie na tem, aby król bez zwłoki pospieszał do nowego państwa swojego. Przemógł więc duch poświęcenia za chrześcijaństwo, przed którym ustąpić musiały względy osobistej korzyści, i bohaterski król poszedł walczyć za obcą sprawę, nie pomnąc, iż własny kraj jego pograży się w odmet anarchii, a pozostawion bez obrońcy stanie się łupem nietylko pogańskich, lecz i chrześcijańskich najezdzców wtedy właśnie, gdy on zasłaniając chrześcijaństwo od zalewu hord niewiernych, głową przypłaci szlachetny zapale.

Pięknym przykładem z oczywistym dowodem uczciwych zamiarów narodu pozostanie na zawsze fakt, iż Polacy nie zadowolając się oświadczeniami posłów, wysłali do Węgier Pawła Wojnickiego z Sienna dla ostatecznego przekonania się, czy Węgrzy jednomyślnie życzą widzieć na tronie Władysława; od Elżbiety zaś zażądali oświadczenia, iż nawet w razie przyjscia na świat spodziewanego królewica nie zmieni zamiaru powołania króla polskiego.

Wtedy dopiero oświadczył Władysław wobec posła tureckiego, „że przestając na swoim królestwie polskiem, nigdy obcych królestw nie pragnął; wszelako, aby się nie zdawał Boskiemu opierać rządzeniu, rzeczono królestwo na chwałę Boga wszechmocnego, Rodzicielki jego, Maryi Panny, i wszystkich wybrańców nieba, dla pokoju i obrony wiernych, a wytepienia i zagłady barbarzyńców, nie bez mnogich łez wylania przyjmuje.“

Szlachetni i rycerscy, jak przeważna większość królów polskich, Jagiellonowie, więcej nierównie kierowali się uczuciem, niżli względami polityki.

Nasz Warneńczyk mniej niż ktokolwiek inny miał wspólnego z tym przymiotem umysłów zimnych i obrachowanych. W chwili, gdy cała niemal Europa jedynie sympatją słów miała dla zagrożonego od Turków wschodu, gdy mianowicie szumnymi przyrzeczeniami pasła osaczono w Carogrodzie ostatniego z cesarzów byzantyńskich, Paleologa, bohaterski Władysław, w skutek zwycięskiej wyprawy do dzierzaw tureckich wymógł na Bisurmanach korzystny pokój na lat dziesięć, w imię dobra chrześcijaństwa daje się niebawem nakłonić do zerwania przymierza, i luboby mógł w pokoju panować bezpiecznie, staje sam na straconej wedecie i ginie...

Umieliż przynajmniej współcześni uczcić bohaterstwo i poświęcenie najpiękniejszej postaci owych czasów? Jeśliś ciekawy, czytaj dysputę prowadzoną listownie w tej mierze między późniejszym papieżem, Eneaszem Sylwiuszem, a kardynałem Oleśnickim, gdzie wysoki dostojnik kościelny mimo przekonywujących argumentów naoczego świadka układów, Zbigniewa, upiera się przy zdaniu, iż król powodowany chciwością, wbrew woli Elżbiety wdarł się na tron węgierski, gdzie wręście chwałę dnia Warneńskiego przypisuje Huniademu, który ucieczką po zgonie Władysława salwował żywot...

Koszttem dobra własnego narodu na ołtarzu chrześcijaństwa złożona ofiara zdawała się samolubnym, do wyższych popędów niezdolnym dyplomatom ówczesnym, owocem ambicji i chciwości, i tylko ludy, czujące całą wielkoduszność Warneńczyka, złożyły hołd jego pamięci, uczciły zgubną dla samej Polski pochopność jego do poświęcenia w napisie grobowym, który już oddawna był wryty w tysiącach serc, a któremu w wieku XVI nadał cielesne kształty wieszcz Czarnoleski:

Grób jego — słup — i śnieżne Balkany,  
Napis, wieczna pamiątka między chrześcijanami.

Kl.



# Poczta wiejska.

(Obacz rycinę na stronnicy 40)

W niektórych okolicach naszego kraju komunikacja posługuje się jeszcze bardzo naiwnymi środkami. Ze stacyi pocztowych w małych miasteczkach na całą okolicę rozwozi ekspedycje i listy chłopak na jednokonnym wózku, nieraz znaczne sumy w listach wiozący, albo roznosi je kobieta, która za małe wynagrodzenie ten ciężki obowiązek spełnia. Na wyż dołączonej rycinie taką pocztę

pieszą widać. Z psem strażnikiem ta kobieta, przechodząca teraz pospiesznie kładką, przez długie lata, zimą czy latem, w słońce czy w spiekę, dniem i nocą przebiega okolicę, roznosząc radości i smutki, groźne i pocieszające nowiny, wszystkim znana, wszędzie witana mile, zahartowana jak żołnierz w twej twardej służbie, a skora jak szybkobieg prawie.

Orsza.

---

## Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, 25. stycznia 1873,

(Wspomnienie o ś. p. Suffczyńskim. — Projekt fundacyi stypendyjnej S. Chlebowskiego. — Jubileusz Kopernikowski. — P. Steinman. — „Polonia“ p. K. Ostrowskiego. — Tłumaczenie „Pieśni wieczornych“ Witosława Halka.)

Nekrologiem otwieramy i tę kronikę — znowu strata bolesna, strata, którą uczują wszystkie serca, świadome współczesnych usilowań na niwie słowa ojczystego. Znany pod pseudonimem K. S. Bodzantowicza znakomity pisarz, Kajetan Suffczyński, w 65 roku życia zmarł pod Sokalem. Oddając na tem miejscu dobrze zapracowaną cześć pamięci autora „Rodziny konfederatów“, i zanim ogłosić będziemy mogli obszerniejszy życiorys z wizerunkiem jego, przytoczymy bodaj niektóre szczegóły rozległej działalności literackiej Suffczyńskiego, jak mianowicie ten, iż zawód swój pisarski rozpoczął w „Bibliotece Warszawskiej“ przesłiczniem „Opowiadaniem przy kominku“, zaś w rocznikach „Biblioteki Ossolińskich“ i w „Przeглядzie“ krakowskim od czasu do czasu pomieszczał wspomnienia z przeszłości, między którymi „Muszkieter“ pierwsze trzyma miejsce. Największy atoli rozgłos zjednała Suffczyńskiemu powieść o „Rodzinie Konfederatów“, z której część pierwsza: „Pan Starosta Warecki“ przedrukowywaną była kilkakrotnie w „Czasie“ i „Dzienniku literackim.“ Ostatnie to pismo pomieszczało wiele powieści drobniejszych pióra Suffczyńskiego. W roku zeszłym, księgarz Żupański w Poznaniu wydał jego „Boje polskie i przygody żołnierskie“ a obecnie rozpoczął druk dwutomowej powieści p. t. „Zawsze oni“ z ilustracyami J. Kossaka. Wiemy, że w tece zgasłego autora pozostało wiele pism cennych i materyałów odnoszących się do naszej przeszłości; wartoby istotnie, aby skrzętna ręka zajęła się ich ułożeniem i wydaniem.

Poruszono myśl bardzo zacną, postawienia zmarłemu niedawno Stanisławowi Chlebowskiemu w kościele lub na cmentarzu nagrobka, albo też fundowania stypendyum na rzecz pozostałych po nim synów. Ostatni projekt oczywiście bez porównania jest szlachetniejszy od pierwszego i tem bardziej urzeczywistnionym być powinien, że wdowa po tyle zasłu-

nym mężu bardzo niedostatecznie posiada środki do utrzymania i wychowania kilkorga sierót. Tak to niestety zdarza się u nas najczęściej, że ci, co dla dobra ogólnego poświęcali pracę całego swego życia, zostawiają po sobie niezaopatrzone sieroty! Gdzieindziej sama ta olbrzymia książka, którą dla użytku szkół ułożył Chlebowski, stanowiłaby fundusz aż nadto wystarczający do zapewnienia dzieciom jego chleba i wykształcenia, u nas inaczej... Mamy wszakże nadzieję, że zasługa i tym razem ocenioną będzie w kraju, a wspomniana myśl znajdzie należyte poparcie i wejdzie w czyn. Zanim więc podać będziemy mogli czytelnikom szczegóły fundacyi stypendyjnej Chlebowskiego, i do udziału w takowej ich zaprosić, donosimy, że celem urzeczywistnienia takowej zawiązał się już komitet, złożony z pp. dr. Feliksa Strzeleckiego, rektora akademii technicznej, profesorów Żmurki i Maszkowskiego, dr. Wolskiego, dr. Popiela i p. Zimy, dyrektora galic. kasy oszczędności.

W Warszawie, Poznaniu, Krakowie a zapewne i we Lwowie, przedewszystkiem zaś w Toruniu czynią skrzętne przygotowania do świetnego obchodu Kopernikowskiego, przypadającego jak wiadomo w dniu 19. lutego. Publiczność żywy bierze udział w pamiątce, co hold potomnych ma złożyć ceniom wielkiego ziomka. Program obchodu toruńskiego dotąd nie został ogłoszony, że jednak będzie świetnym, za to ręczą nam osobistości komitetu, zajmującego się urządzeniem takowego, mianowicie pp. Ślaski z Trzebcza, dr. Rakowicz z Torunia, Emil Czarliński z Brąchnówka, Władysław Radkiewicz z Torunia i Edward Donimirski z Łysomic. Z całego kraju deputacje miast, instytucyj, towarzystw, kolegiów i korporacyi pospieszą na 19. lutego do Torunia, liczne też przybędą z zagranicy, jak od uniwersytetów rzymskiego, padewskiego, bonońskiego itp. W Krakowie za inicjatywą uniwersytetu Jagiellońskiego a gorliwym poparciem Rady miejskiej stanął nadzwyczaj świetny program obchodu Kopernikowskiego; tylko we Lwowie nic w tym względzie nie udecydowano dotychczas. Matejko na obchód toruński poszle portret Kopernika, najnowsze swe dzieło, kilku zaś rzeźbiarzy wypracowuje biusta i



posągi wielkiego astronoma; jeżeli więc doliczymy do tego wydany już przesłiczny sztych rysunku Maleszewskiego według oryginalnego portretu Ghirlandaya, tudzież medal pamiątkowy i album, to wcale piękną mieć będziemy galerią Kopernikowską. Na medal ten i album ciągle jeszcze przyjmują prenumeratorom w dniu obchodu, album wyjdzie prawdopodobnie w kwietniu.

Czas karnawałowy, panujący właśnie w najlepsze, nie sprzyja wcale ani teatrowi, ani sztuce wogóle, mimoto przedstawienia zwłaszcza opery, tudzież wieczorki Towarzystwa muzycznego, dość licznych stale gromadzą słuchaczy. Repertoir dramatu w ostatnich czasach był zupełnie zaniedbany, za to „Księżną Gerolstein“ kilka razy z rządu prawie raczono publiczność. Wątpimy, aby takie widoczne spekulowanie na ochotę zapustną w publiczności i na — kasę, godnem było dyrekcji, która przecie nie dla kieszeni własnej objęła teatr. Przedstawiona w tych dniach po raz pierwszy operetka „Żaki“, pióra S. Dobrzańskiego z muzyką K. Hoffmana, podobała się powszechnie, tem bardziej, że wykonanie jej pod osobistą dyrekcją kompozytora wypadło bardzo gładko. Dlaczego dyrekcya nie wystawi nam ulubionych „Paziów“ Dunieckiego, zamiast n. p. „Zalogi okrętowej“ i t. p. fars.

Od kilku miesięcy bawi we Lwowie młody rzeźbiarz z Warszawy, p. Steinman, utalentowany zwłaszcza w rzeźbieniu medalionowych portretów, których dokonał już bardzo wiele tak tutaj, jak i w Poznańskim, gdzie dłuższy czas przebywał. Do najełniejniejszych wszakże utworów p. Steinmana zaliczamy wizerunki Chopina i Moniuszki, połączone w jednym medolionie, tudzież Wincentego Pola. — Inny, również młody rzeźbiarz ze szkoły wiedeńskiej, p. Kazimierz Ostrowski, wystawił właśnie w jednej z sal ratuszowych na widok publiczny utwór swój zatytułowany „Polonia“, składający się z trzech figur naturalnych prawie rozmiarów, o znaczeniu allegorycznem, przedstawiających mianowicie w plastycznej formie tendencją dziś pospolitą: odradzania Polski przez „pracę organiczną“... Tendencya przesłiczna zaprawdę, nie należy wszakże na jej koszt ujmy czynić owej dziś także pospolicie negowanej „rycerskiej“ przeszłości ojczyzny naszej, i w tem właśnie nie zgadzamy się z artystą, który w jednej z figur przedstawił nam ową rycerskość Polski minionej jakoby już skazaną na wieczny odpoczynek...

Tylko wyższym zapalem, ogólniejszym celem nacechowana praca wogóle skutecznie usłużyć może dobru pospolitemu, a wszakże czy to buława Sobieskiego, czy kord Kościuski, były niczem innym, jak tylko młotem „pracy organicznej“, młotem, nacechowanym właśnie świętością celu, któremu służyły... Bądź co bądź sama powaga kompozycji, o której mowa, chlubnie świadczy o talencie p. Ostrowskiego, swoją drogą zaś wykonanie artystyczne „Poilonii“ rokować mu pozwala najpiękniejszą przyszłość na tem polu.

Ze świata literackiego tą tylko wiadomością dzielimy się z czytelnikami, że wkrótce pojawią się w osobnej książeczce ładne poezye najcelniejszego podobno pisarza czeskiego, Witosława Halka, w tłumaczeniu Władysława Bełzy, którego próbkę niejako mieliśmy w kilku wierszach, ogłoszonych osta-

tnemi czasy w rozmaitych czasopismach, a także i w naszym. Zbiorek, o którym mowa, nosi nazwę „Pieśni wieczornych“ i jest treści przeważnie erotycznej; nikt też zapewne od pana Bełzy nie był kompetentniejszym do przyswojenia ich literaturze polskiej.

B. K.

Drezno z końcem stycznia.

(Nowe straty: Kajetan Suffczyński, Henryk Cieszkowski, Leon Kunicki. — Peryodeczne wydawnictwa warszawskie. — Rocznik Towarzystwa przyjaciół nauki w Poznaniu i treść jego. Pamiętniki nuncjusza Archetti. — Wieść pocieszająca o T. Lenartowiczu. — Album Kopernika.)

Nie możemy wyjść ze smentarza... śmierć odbiera nam co chwila kogoś z pracowników drogich... W ostatnim numerze Strzechy boleśnie przypomniał nam stratę Pajgerta przesłicznym listem jego, dziś przyniosły dzienniki wasze smutną wiadomość o zgonie Bodzantowicza (Kajetana Suffczyńskiego), który zmarł dnia 7. stycznia, a dopiero w parę tygodni przyszło jego śmierci wspomnienie. Był to rzeczywiście talent oryginalny, rodzimy, polski, a jako talent znakomity. Rozsypane pojedyncze, śliczne jego opowiadania, pod względem artystycznym często przewyższające Soplicę, domagają się od rodziny i przyjaciół zebrania w jedną całość. Jeżeli co jest obowiązkiem, to takie uczczenie zmarłego pisarza, który w stosunku do wartości pism swoich, za mało był znanym za życia. Bardzo już dawno temu, słyszeliśmy go czytającego początek powieści obszerniejszej z czasów Stanisława Augusta, który był arcydziełem w swoim rodzaju. Nigdzieśmy go później drukowanym nie znaleźli.

Zmarły także w sam pono dzień Nowego Roku, znany poeta i utalentowany pisarz Henryk Cieszkowski, w Warszawie, zostawił po sobie kilka pism ogłoszenia się domagających, mianowicie „Notatki ze swego życia“, rodzaj pamiętnika, który nam wraz z innymi rękopismami przekazał. Henryk Cieszkowski był jednym z tych troskliwie wykończających prace swe pisarzy, którzy wielce o formę są dbali. Pamiętnik też zawiera z wielką delikatnością dotknięcia (mówiąc językiem malarskim) wykonane mnóstwo obrazków naszego społeczeństwa, wizerunków osób, które mieć będą swą cenę. Wspomnienia młodości, obraz rewolucji 1830 r. i wypadki 1863 skreślone są ogólnie, ale z trafnością kolorytu... Cieszkowski w całym swym życiu dość nieszczęśliwy, najdziwniejszym trafem ze wsi pierwszy raz do Warszawy przybył dnia 29. listopada wieczorem, właśnie w chwili, gdy rewolucya wybuchła... W godzinę potem wyszedł z bronią na ulicę... W liście, który do nas napisał odsyłając pozostałe rękopisma, a ten nas doszedł już po jego zgonie, wliczył sam pisma swoje... Świat i dusza, powieść. Wianek cierniowy, poezye. Postępowi, powieść. „Studia nad rewolucją francuską Felixa hr. Czackiego, tłumaczone z francuzkiego. „Giełda (La Bourse) komedya wierszem z Ponsard'a. Oprócz tego mnóstwo artykułów w pismach peryodycznych... W spadku po nim został, oprócz Notatek czyli Pamiętników, zeszyt poezyj nie drukowanych, między którymi są bardzo wdzięczne. Człowiek był cichy, skromny, miły, pracowity, umiarkowany; serce aż do zbytku czułe, dusza szlachetna. Czystym przeszedł przez świat... nawet się nie skarząc na ludzi, chociaż los jego może mu do tego dawał



prawo. Henryk Cieszkowski był ciotecznym bratem barona Rastawieckiego. Jeszcze jeden zmarły, a niedawno towarzyszył przechadzek naszych w Karlsbadzie., to stary nasz z Podlasia znajomy Leon Kunicki... Po latach wielu spotkaliśmy go żółtego i wymizerowanego przy Sprudlu... zdawał się mieć lepiej... powrócił do domu i umarł.. Nie ma nic w świecie skuteczniejszego nad Karlsbadzkie wody, kto z nich zdrowia nie zaczerpnie, śmierć pewnie. Leon Kunicki znanym był w Warszawie z obrazków nadbużańskich i szkiców humorystycznych. W Karlsbadzie jeszcze chwycił oryginalniejsze postacie, uśmiechał się czasem, ale czuć było, znać było, że tam już sił nie wiele. Po powrocie umieścił jeszcze parę szkiców w Tygodniku ilustrowanym... Zmarł młodo, bo nie miał nad lat czterdzieści kilka. Strata żony i matki, w prędkim czasie następujące po sobie, cios mu tak ciężki zadały, że się już po nim dźwignąć nie mógł.

Spuszczając po Pajgercie da nam przyjaciel jego, Kornel Ujejski, tak się spodziewamy; po Bodzantowiczu rękopism jeden wydaje Żupański, a zapewne rodzina mu i wydawnictwo całości poleci; po Cieszkowskim Pamiętnik postaramy się my ogłosić drukiem; Kunickiego obrazki w Warszawie znajdują nakładczą... Po dwóch miesiącach przerwy... Kuryer Warszawski, bez którego żyćby nadwiślańskiej stolicy było trudno, ukazał się znowu, poniosłszy ogromne straty! Z innych dzienników, z wyjątkiem Wieńca, o którym nie słyhać, wszystkie prawie żyją i rozwijają się dalej. Przeobrażeniu bardzo korzystnemu ulega Kronika Rodzinna... której pierwszych kilka numerów zwiastuje silniejszą daleko redakcją i wybitny charakter. Jest ona przedstawicielką zasad zachowawczych, ale chętnie się liczących z postępem i zdrowymi ideami przyszłości.

Dalszy ciąg listów z podróży Odyńca, stanowi jej okrasę.

W innych peryodycznych warszawskich wydaniach zmian nie dostrzegamy... Powodzenie dodawanych do Kłosów pism Korzeniowskiego znalazło naśladowników, i teraz każdy niemal Dziennik coś dodatkowo dla abonentów swych tanio drukuje. Unger wydał część pism Aug. Wilkońskiego i Encyklopedyą; Lewental zapowiedział bibliotekę arcydzieł, w której i naszych własnych pisarzy utwory mieścić się mają.

Do pierwszorzędných naszych publikacyj nowych zaliczam Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Składa on się z prawdziwie wyborowych prac członków towarzystwa. Rozpoczyna go ciekawa rozprawa K. B. Hoffmana o najdawniejszych grobowcach królów polskich, w której szczególnie rzecz o Bolesławie Śmiałym nowym pomysłem uderza. Dalej idzie Libelta, Psalterz Floryański i Biblia królowej Zofii; Stanisława Koźmiana, Żywot i pisma Konstantego Gaszyńskiego, rzecz i ślicznie napisana i żywo zajmująca; sprawozdanie z konkursu hr. Cieszkowskiego przez Aug. Mosbacha, dwa ustępy z życia Kościuszki przez Wegnera, miłe i piękne obrazy przeszłości, rozprawa Dr. A. Małeckiego o kamieniach Mikorzyńskich, i sprawozdania. Dla ogółu czytelników wspomnienia o Gaszyńskim Koźmiana, i Wegnera dwa ustępy z życia Kościuszki, będą najwięcej pociągającymi, i inne wszakże rozprawy, choć poważniejszej treści, pełne są interesu. Prof. Małcki sprawę kamieni Mikorzyńskich nie waha się rozstrzygnąć na analogiach

opartym wyrokiem, iż są — sfalszowane. Nie przypuszcza on istnienia żadnych run słowiańskich, te, które za nie uważane były, znajdując widocznie podrabianiami. Jednakże świadectwa historyczne o używaniu przez Słowian pisma, choćby u obcych zapożyczonego, znajdujemy dosyć liczne. Nie było pismo bardzo rozpowszechnionem; może materyał, na którym je rzezano, przyczynił się do zniszczenia pomników... To, co nam podawano za słowiańskie, w istocie albo podlega wątpliwości lub niewłaściwie było nam przypisywanem, a mimo to wszystko jeszcze, tak absolutnie twierdzić, że pomników pisma nie było, wahałoby się może...

Karty, na których pańszczyznę znaczyli gumienni nasi, są też zabytkiem pierwotnego pisma... a że te pono jak kalendaryze runiczne na drzewie się wycinało, bośmy nigdy wiele do czynienia nie mieli z kamieniami, cóż dziwnego, że niszczało? Możnaż ręczyć, że się coś gdzieś kiedyś nie odkryje?? Przyszłość okaże...

Powiada pan Koźmian w życiu Konstantego Gaszyńskiego, mówiąc o wydanych przez niego pamiętnikach Macieja Rogowskiego, iż myśmy je w Tułaczach zdawali się uznawać rzeczywistymi pamiętnikami, a nie utworem wyobraźni wydawcy. Pamiętniki noszą aż nadto wybitną cechę nowożytniej kompozycji, ażeby się niemi można dać złudzić, lecz wierzyliśmy i wierzymy, iż Gaszyński oparł je na faktach, poszukiwaniach i tradycjach prawdziwych... Wiele jest dodanego, lecz wiele zapożyczonego ze wspomnień przeszłości.

Dla pracujących nad epoką Stanisława Augusta nie objętymi będą, jakkolwiek są szczupłe i parę tylko lat obejmują, Pamiętniki Nuncjusza Archetti, który naprzód w Polsce zastąpił Garampiego, potem był wysłany do Petersburga z paliuszem dla arcybiskupa Sierstrzeńcewicza... Wydawca tego pamiętnika krótkiego, po łacinie pisanego, O. Gagaryn S. J., nie może przebaczyć Nuncyuszowi, iż był nieprzyjacielem zakonu, posądza go o szkodzenie mu wspólnie z Sierstrzeńcewiczem, i na cały pamiętnik w przemowie rzuca rodzaj krytyki, który czytelnika niemile uprzedza... Pomimo to i mimo że Archetti trzyma się w ogólnikach, urzędowej swej misji tyjących, pamiętnik zajmuje i do historii epoki po zaborze kraju jest ciekawym materyałem.

Z Florencyi lepsze nas wieści dochodzą o zdrowiu Lenartowicza, który parę nowych poematów dokończył, a nad swą głową Ś. Jana ma pilno pracować. Album Kopernika nad wszelkie spodziewanie się rozpowszechni... prenumerata przechodzi pono o wiele tysięcy egzemplarzy. Toruń przysposabia się na przyjęcie gości dnia 19. lutego, których natłok będzie wielki. Dwa razem obchody, niemiecki i polski w jednym dniu, jednym mieście.. pamięci jednego człowieka poświęcone, rywalizujące z sobą, to coś niemal jedyne w historii. Niemcy będą cześć oddawać swojemu, a my naszemu Kopernikowi. Spodziewamy się, że po wspólnych obiadach, jak w Strasburgu przy założeniu uniwersytetu, nie przyjdzie do krwawych zapasów... ale ze strony tryumfatorów za nie ręczyć nie można! Mają za sobą jeśli nie słusność, to milionową armią...

J. I. KRASZEWSKI.



## ZE ŚWIATA.

(Dowcipna reklama). Niejednemu zdawałoby się, że reklama dopiero w najnowszym czasie wykształconą została aż do pewnego rodzaju mistrzostwa; tymczasem nie zbywa na dowodach, że i dawniej już niepospolicie kwitnęła ta sztuka. Oto na przykład następująca historia, ogłoszona przed wielu laty w angielskim dzienniku „Times“:

„Wiadomo naszym czytelnikom, że trzymasztowy okręt „Queen of the Waves“, mający na swoim pokładzie kilkaset pasażerów, rozbił się i zatonął w pobliżu wysp Karaibskich. Niektórym tylko rozbitkom powiodło się pochwycić jakiś odłamek okrętu, jaką pływającą deskę, i utrzymać się tym sposobem na powierzchni morza. Jednym z tych był niejaki John Smidt, który chciał szukać szczęścia za Oceanem. Trzy dni i cztery nocy pływał tak ów nieszczęśliwy, trzymając się deski, po morzu bez jedzenia i napoju; już suknie gnily mu na ciele, mróz ścinał mu członki, głód i pragnienie wycieńczyły go zupełnie. Już stracił przytomność i tylko mechanicznie trzymał się jeszcze deski, gdy naraz przewalił się przez niego gwałtowny balwan i oderwał go od deski. I byłby niezawodnie stał się łupem potworów morskich, gdyby ten sam balwan nie był go wyrzucił na brzeg, gdzie na pół nagi leżał długi czas jak nieżywy. A gdy wreszcie odzyskał znów przytomność, ujrzał dokoła siebie tłumy dzikich ludzi, straszliwe postacie z toporami i maczugami, które tańczyły około niego, za pierwszym znakiem życia ryknęły wrzaskiem, który przenikał aż do szpiku, a potem z wściekłą pożądlivością na niego się rzuciły i związawszy mu łykiem ręce i nogi, wlokły go ze sobą, ażeby uczynić zeń ofiarę swemu bóstwu Witzliputzli i uraczyć się w końcu jego mięsem. Przed obrzydliwym bożkiem, wyrzezanym z surowego drzewa, stał kapłan tych ludożerców, gotując się do rozplatania naszego nieszczęśliwego ziomka, a dokoła otaczali go naczelnicy szczepu, mający prawo do pochwycenia najlepszych kęsów, — gdy nagle wypadł kapłanowi z rąk nóż ofiary, a on sam, jak również wszyscy naczelnicy, padłszy na ziemię, poczęli całować szczątek buta, który morze pozostawiło jeszcze na nodze Johna. Potem porzucinali spiesznie więzy, które nieszczęśliwy był skrupowany, podnieśli go z radośnym wyciem do góry i okrzyknęli wobec zgromadzonego ludu kacykiem wyspy, nieograniczonym władcą. I cóż sprawiło tę cudowną zmianę losu? Rzecz całkiem prosta. Wizerunek bożka Witzliputzli odbił się w szczątku buta, który przecież trzy dni i cztery nocy moknął w wodzie, a dzieci upatrywali w tem skazówkę nieba, że powinni tego obcego człowieka wynieść do godności władcy, zamiast go poznać. Otóż tylko nieocenionemu czernidłu na buty zawdzięcza on życie i koronę, a tego czernidła dostać można jedynie u Morgana Hunt, n. 7 Blackfriars w Londynie“.

(Odwiedziny w piwnicach węgierskiego banku narodowego). Znany węgierski powieściopisarz, Maurycy Jokay, robiąc studia do nowego romansu, zwiedzał niedawno skarby banku narodowego, i opisuje odniesione ztąd wrażenia w fejletonie dziennika „N. W. Tagblatt“, z którego przytaczamy następujące ciekawe szczegóły: U wnieścia do tego podziemnego skarbcza znajduje się przedewszystkiem maszynerya, która obladowane kruszcem wozy spuszcza do piwnicy i na-

powrót wyciąga. Takich maszyn jest dwie, jedna poruszana parą, a druga rękoma ludzkimi. Wóz mieści w sobie 160 worów pieniędzy, które w srebrze czynią 75,000, a w złocie 600,000 guldenów. Skarbców jest cztery; każdy znajduje się w piwnicy wysokiej na 10 stóp, o grubych murach, których okien chronią potrójne kraty żelazne. I te pieczary, mające 3 stopy długości i tyleż szerokości, są od żelaznej podłogi aż do sklepienia napelnione tym kruszczem, który włada światem. Widziałem tu owe 146 milionów, które stanowią teraz brzęczący skarb banku narodowego, jak spoczywają w olbrzymich czworobokach lub ustawionych na kształt wież worach tak, że nieraz trudno się przecisnąć pomiędzy temi skarbami. Jakiegoż to uczucia doznaje człowiek, gdy stanie przed taką okrągłą wieżą i usłyszy: „tu jest 1½ miliona!“, lub gdy mu wskażą taki czworobok i powiedzą; „tu jest 2¼ miliona!“ Na każdym worku jest wypisana suma, którą zawiera. Każdy worek opieczętowany, a obok pieczęci znajduje się nazwisko urzędnika, który przeliczył tę sumę. Pierwszy skarbiec napelniony jest głównie srebrem. Tu wmurowany jest kamień węgielny z płytą pamiątkową. Ta piwnica zawiera 53 milionów. Drugi skarbiec, do którego prowadzą osobne drzwi żelazne, mieści w sobie głównie złoto. Jest ono poukładane w przedziałkach, mających dwie stopy długości, lub w workach zawierających po 500 napoleonów. A na każdej przedziałce stoi napis: „Dwa miliony!“ Ztąd wchodzi się do innej piwnicy, gdzie złożone są sztaby srebra, o których kształcie nie może nikt mieć wyobrażenia, kto ich nie widział. Taka sztaba srebrna waży 50 funtów. Złota w sztabach nie ma; i srebro jest po największej części bite, i to z najnowszym stemplem. W tej drugiej piwnicy przechadzaliśmy się pomiędzy 47,800,000 guldenów. Trzeci skarbiec znajduje się w skrzydłowym zabudowaniu. Niegłębły był i ten budynek napelniony srebrem, teraz znajduje się tam jeszcze tylko 5 milionów w srebrze. Czwarty wreszcie skarbiec, mały zakątek uboczny, mieści w sobie 16 milionów w złocie. Nakoniec zawierają jeszcze ustawione w lokalu dyrekcji kasy Werthejmowskie 15 milionów: i tam znajduje się także rezerwowy fundusz banku. A żebym i ja miał co liczyć, dano mi skromny milionek do ręki..... tysiąc papierowych tysiączków. Zdawało mi się, że mam ogień w ręku! — W roku 1831 wynosił fundusz brzęczący banku 12 milionów, banknoty 120 milionów; w roku 1841 fundusz brzęczący 15, banknoty 165 milionów; dziś jest funduszu brzęczącego 146,900,000 guldenów, banknotów zaś w obiegu 326 milionów, a przecież w r. 1831 nie było aży! Dowiadywałem się także o to, czy w razie napadu możnaby skarb bankowy zalać nagie wodą, i powiedziano mi, że możnaby, tylko że woda musiałaby mocno uszkodzić budynek. Skarb banku jest w inny sposób zabezpieczony, a gdyby zewnętrzny nieprzyjaciel, któremu oprzećby się nie zdołano, napadł budynek, mógłby z łatwością także wodę usunąć.

(Osobliwsza scena teatralna) wydarzyła się niedawno w teatrze „Les Angelos“ w San Francisco. Dawano balet, i cała trupa baletnicza była zajęta na scenie, gdy posłyszano huk gromu, zapowiadający gwałtowną burzę. Właśnie tańczyła solo jedna z najpiękniejszych baletniczek, gdy nagle-



straszny huk piorunu zatrzęsł całym gmachem; cała scena i sala teatralna zajaśniały jakimś niebieskawem światłem elektrycznym, i wśród piruetu powalił piorun tancerkę na ziemię. Biedna artystka leżała rozciągnięta bez znaku życia. Powstało okropne zamieszanie; najprzód cisza grobowa, potem rozpaczliwy, stugłośny wrzask, a nareszcie w spokojniejszych chwilach głośnie wołanie: „Cicho! Pozostać! Piorun nie zapalił!“ Mnóstwo osób zemdlało. I znowu zawarczał grom raz i drugi raz, i zdawał się oddalać. Z trupy baletniczkiej zemdlało także kilka osób, i wyniesiono je do garderoby. W końcu pojawił się lekarz na scenie, i zabrano porażoną tancerkę. Publiczność pozostała, ażeby się dowiedzieć, czy jest jeszcze ratunek. I w kwadrans potem, po użyciu wszelkich środków, oświadczył lekarz publiczności, że serce porażonej artystki bije jeszcze; a po upływie drugiego kwadransa dowiedziano się, że odżyła już przytomność. Zabrzmiały stugłośne okrzyki. Natychmiast urządzono na parterze, w łóżach i na galerii składkę na baletniczkę i w dziesięciu minutach zebrano 1200 dolarów. Nazajutrz dowodzili wprawdzie księża na ambonach, że to kara nieba, ponieważ balet jest wogóle wynalazkiem szatana, ale afisz teatralny ogłosił to samo przedstawienie z dodatkiem, że urządzono sześć konduktorów na dachu.

(Ostatnie słowa znakomitych ludzi). Na ostatnie słowa umierających zwracano zawsze szczególną uwagę. Znanym jest powszechnie wykrzyk Goethego: „Podnieś zasłonę i wpuść więcej światła“. Przy zgonie Humboldta oświecało słońce wspaniale pokój, w którym leżał, i ostatnie jego słowa wyrzeczone do siostrzenicy, miały być: „Jakież to cudowne promienie, zdają się ziemię wzywać do nieba“.

Walter Scott zwracał się w ciągu ostatniej słabości kilkakrotnie do swego zięcia, Lockhardta, i mówił z wielkim zapalem: „Bądź zawsze poczciwym człowiekiem, mój drogi!“ Doktor Johnson, umierając wyrzekł do dziewczyny, która stała przy jego łóżku: „Niech cię Bóg błogosławi, moja droga!“ — I podobnie zakończył Wordsworth słowami: „Niech cię Bóg błogosławi! — Tyś to Doroto?“

„Jestem gotów!“ — były ostatnie słowa sławnego aktora angielskiego, Karola Matheus. Ostatnie słowa generała Washingtona były stanowcze, zimne a pełne ufności: „Umieram i nie lękam się śmierci!“

Charlotte Bronte, autorka powieści „Jane Eyre“, obróciła się jeszcze raz przed zgonem do męża, z którym dopiero od kilku miesięcy była zaślubiona, i rzekła żałośnie: „Nie prawdaż, ja nie umrę? Niebo nas nie rozłączy; byliśmy przecież tak szczęśliwi!“

Pożegnanie biednego Olliviera Goldsmitha było również żałośnie: „Czy umysł pana spokojny?“ — pytał go lekarz. „Oh, nie!“ — odpowiedział z ciężkiem westchnieniem.

I to był ostatni jego okrzyk, równie bolesny, jak całe jego życie.

Keat między innymi wyrzekł przy zgonie z uniesieniem: „Czuję, jak kwiaty rosną nademną!“ A Tassa ostatnie słowa były: „In manus tuas Domine!“ (W ręce Twoje Panie!)

Napoleon skończył w gorączce; wydawał wojskom swoim rozkazy, i zdawało mu się, że jest w bitwie. „Tête d'armée! — to był ostatni wyraz, który wyszeptaly jego sine usta.

Mozart, gdy po czternastodniowej chorobie poczuł, że koniec jego się zbliża, pragnął, ażeby śpiewacy teatru Schikaneder odspiewali przed nim „Requiem“, jeden z ostatnich jego utworów muzycznych. On sam śpiewał partycję altową, Schak sopran, a Hofer bas. Wkrótce potem wyzionął mistrz swego melodyjnego ducha.

Etty, malarz angielski, znosił spokojnie powolne swe rozprężenie; wyrzekł jeszcze z wielką spokojnością: „Dziwną, dziwną jest ta śmierć!“ — i skonał.

Tomasz Hood zawołał: „Umrzeć, umrzeć!“ — i słowa te wymawiał z takim wyrazem uszczęśliwienia, jak gdyby go cieszyło głębokie, tajemnicze ich znaczenie.

Douglas Jerrold, jeden z najdowcipniejszych pisarzy angielskich, zapytany przed zgonem, jak się ma, odpowiedział: „Mam się jak ten, co czeka i co przyjmuje.“

Ostatni głos, który wydały usta angielskiego poety Tomasz Campbella, był okrzykiem radości.

Największy reformator Zwingli poległ, jak wiadomo, w r. 1531 w bitwie, a ostatnie jego słowa były zimne i śmiałe. Spojrzał spokojnie dokoła, a potem z niezachwianą odwagą na krew, płynącą z swoich ran śmiertelnych, i rzekł poważnie: „Nie jestto wielkie nieszczęście! Oni mogą zabić ciało, ale duszy zabić nie zdołają!“

„Będziesz ty lepiej rządzić?“ — były ostatnie słowa greckiego cesarza Phokasa, gdy mu następca jego Heraklius wyrzucił jego zbrodnie.

Król angielski Karol II. umarł z żartem na ustach. Jego zgonu oczekiwano już od dłuższego czasu, i wielu dworzan musiało w nocy czuwać przy jego łóżu. Przepraszał tych, którzy go otaczali, że zadaje im tyle trudu; „jestto — mówił — bardzo niestosowna pora do umierania, ale spodziewam się, że mi to przebaczycie!“

Pewien zaś król północny nie chciał żadną miarą ginąć śmiercią naturalną. Sędziwy ten bohater kazał uzbroić okręt wojenny, wszedł na pokład jego, podłożył ogień, i wypłynął potem zwolna na morze, śpiewając jeszcze w ostatniej chwili wesoło ulubioną pieśń wojenną.

Nelson nakoniec umarł z temi słowami: „Dziękuję Bogu, że spełniłem mój obowiązek.“

## Nowe książki.

Dług honorowy, powieść oryginalna przez Adama Belcikowskiego. Warszawa; nakładem księgarni Wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych w Krakowie 1872.

Powieść ta, to pierwszy występ na polu powieściopisarstwa autora, znanego już z cennych prac swoich dramatycznych (Król don Juan, Huniadi itd.), oraz z licznych stu-



dyów literackich, szczególnie z końca XVII. i z XVIII. wieku. Nie zadziwiają nas tedy, świadomych już talentu pana Belcikowskiego, przymioty formy, stylu i przedstawienia w tej szczęśliwej próbie, ale dodatność pomysłu, ciepło serdeczne i odwaga, z jaką autor rozwija i przeprowadza sytuacje sentymentalne, naiwne prawie, mniej dbając nieraz o efekt aniżeli o prawdę uczucia, wśród natłoku drastycznych i jaskrawych utworów współczesnych miłe i uspokajające czynią na nas wrażenie.

Za to w przeprowadzeniu są maleńkie niekonsekwencje i nieusprawiedliwione punkta, dla wykazania których króciutki streszczenie powieści dać tutaj musimy. Rzecz dzieje się na końcu XVII. wieku, w epoce tak wybornie znajomej autorowi i doskonale w ludziach swoich tu odtworzonej. Książę Kazimierz, wracając z hulanki z koleżkami, złotą młodzieżą, którą wszystką przerasta o głowę i serce, znajduje na drodze omdlałą i pobitą dziewczynę; tę podnosi z litością i do domu swojego zawozi. Otóż mamy bohatera i bohaterkę. Kazimierz powraca zdrowie z pomocą starań i doktora swojej protegowanej, ale sam traci zdrowie serca. Na szczęście miłość jego zyskuje wzajemność. „Magdalena kocha go także“; historia tej miłości i jej perypetye stanowią najpiękniejszą część utworu, część iście poetyczną. Miłość ta przemienia księcia Kazimierza a raczej stanowczo piękny jego charakter ku dobremu skłania. Książę, jedna z niewytłumaczonych egzystencji wielkiego ówczesnego świata; ubogi a żyjący świetnie, z gry szczęśliwej, człowiek bez jutra, uszlachetnia się, postanawia pracować i pracą zdobyć byt dla siebie i dla ukochanej Magdaleny. Ale szczęście to ma wrogów w cieniu. Jest nim osobiście lotrzyk, amator złego dla złego, porucznik Hieronim, sprężyna wszystkich intryg. Jest nim kasztelan, który to w owym dniu, zaczynającym powieść, w napadzie namiętności porwał z maskarady Magdaleny i rozwścieklony jej oporem pobił i wyrzucił ją na ulicę; i jest nieświadomie piękna „Dora“, niegdyś żona Kasztelana, dziś rozwiedziona z nim, a jednak namiętnie przez niego kochana; jest namiętność do gry księcia Kazimierza. Sprężyną jednak wszystkich intryg jest porucznik Hieronim. On to zazdroszcząc Kazimierzowi, pragnąc Magdaleny, dla faworu Kasztelana, dla władzy nad „Dorą“, wreszcie dla passywności zła, wyciąga z ukrycia Kazimierza, podsuwa mu grę w pałacu rozkochanej w nim „Dory“; podżega kapryś Kasztelana do „Magdaleny“, obiecuje mu ją oddać, i w celu uwiezienia jej, w wyznaczony wieczór rzuca Kazimierza, zmuszonego zapłacić Dorze „dług honorowy“, w jej obięcia, pewny, że tem wszystkim zdyskredytuje Kazimierza przy Magdalenie i z pomocą

małego forteliku dla Kasztelana ją uwiezie; w następstwie i sam posiędzie. Ale liczył bez przypadku i uczuć ludzkich. Kazimierz w chwili szału i słabości odpycha Dorę; porucznik z Kasztelanem nie znajdują Magdaleny, bo ta z rozpaczy i podejrzeń uciekła od Kazimierza; a kiedy wracają szukać jej około pałacu Dory, trafiają na Kazimierza, na którego Kasztelan z rozbudzoną zazdrością i namiętnością się rzuca, a w walce ztąd wynikłej przypadkowym uderzeniem porucznika zabija; Kazimierza zaś z rozbitą głową na bruku pozostawia. Tu następuje dalszy ciąg expiacji. Dora, ratując Kazimierza od śmierci z rozpaczy, poświęca miłość swoją i dumę, wynajduje Magdaleny i łączy ich, sama zaś z równie niefortunnej nowej miłości w kilka lat umiera; Kasztelan kończy na delirium tremens; sprawiedliwość się stała. Jak widzimy, przypadek gra tu wielką rolę. Wiele także niewytłumaczonych rzeczy: cały charakter porucznika Hieronima bez motywów, zachowanie się jego względem Dory, Dory względem niego — niemożliwe, a jednak na niem najgłówniejsze momenty powieści polegają. Wreszcie rzecz prawie śmieszna wspominać, a jednak prawdziwa i uderzająca. Ostatnie kilka wiersze zakończenia, a mianowicie słowa Magdaleny, trywialne i depoetyzujące do najwyższej miary bohaterów. Figiel jak u Hejnego, tylko że nieumyślny.

W. O.

Herman i Dorota, poemat w dziewięciu powieściach J. W. Göthego, przełożył sześciomiarem (heksametrem) polskim Ludwik Jenike (z rysunkami F. Tegazza) Warszawa; drukiem Józefa Ungra 1872.

Tłumaczenie to, drugie już z rzędu w literaturze naszej, pierwsze bowiem dokonane zostało przez A. Czajkowskiego (Biblioteka Warszawska 1844 i styczeń 1845), przewyższa nieskończenie owo dawniejsze dokładnością, pięknnością języka, a najbardziej tym klasycznym spokojem i powagą, rozlaną w tej cudownej sielance epicznej niemieckiego mistrza, a których pierwszy tłumacz odtworzyć nie umiał. Misterny i trudny heksametr polski użyty tu z równą umiejętnością, równie harmonijny, jak w pieśni „Wajdeloty“ z „Konrada Walenroda, i w „Sejmie lubelskim“ Syrokomli, a utrzymany troskliwie i bez chyby przez całą pracę. Brak miejsce nie pozwala nam podnieść z pośród wielu innych kilku szczególnie szczęśliwych miejsc w tym przekładzie, tak pod względem prostoty i wierności oryginałowi, jak pod względem harmonijności wiersza. Ilustracje Tegazza, nader charakterystycznie-niemieckie, pięknnością rysunku i odbicią się odznaczają. Wydanie bardzo ozdobne zasługuje na gorące polecenie tak wielbicielom dobrych jak i pięknych książek.

## Pocztą »Strzechy.«

Z niniejszym zeszytem zaprowadza redakcja stale tę rubrykę w swoim piśmie. Uprasza się przeto szanownych autorów, nadsyłających swoje utwory, o dokładne podanie adresu, pod którym życzą sobie otrzymać odpowiedź w poczcie.

Panu P. w Wiedniu: Cicero twierdzi, że poetą trzeba się urodzić, a autora tych wierszy, które pan przysłał, nikt o coś podobnego nie posądzi. Zresztą widoczny w nich brak znajomości języka, o którą koniecznie wprzód postarać się potrzeba, nim się tworzyć zacznie. Panu S. W. w Ostrowie: Sympatyczny wiersz „Zmieniona“ będzie umieszczony w najbliższym zeszycie; prosimy o więcej podobnych. Panu B. R. w Krakowie: Humoresce pana brak najważniejszej rzeczy — humoru; może inna będzie szczęśliwsza.